

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 12 PAŹDZIERNIKA 1929 ROKU

NR. 41

TREŚĆ NUMERU: Ex-bohaterowie i ex-bohaterki — *M. Benisławska*. Wyjdźmy z chaosu — *Zofja Dzieciolowska-Brykalska*. Poezje: „W słońcu” — *Eugenja Masiejewska*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Z wędrówki — *M. H. Szpyrkówna*. Tańce polskie — *S. P. O.* Zamknięcie Powszechnej Wystawy Krajowej — *N. J.* Kobieta w świecie i w Domu. Reorganizujmy nasze ogniska domowe — *Mar-Mor*. Zbieranie i przechowywanie owoców — *A. D.* Pokarmy z laktozą w diecie na nadkwaśność żołądka — *Marja Morzkowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Modna sylwetka na rok 1929 — 1930 — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów. Dodatek: „Kultura Ciała”.

## EX-BOHATEROWIE I EX-BOHATERKI

Co to jest właściwie bohaterstwo? Czy to: „rzucić na stos swój życia los”, wszystko, żeby wygrać dla przyszłości, dla czegoś dalekiego i nieznanego, dla odległych może pokoleń coś niezmiernie cennego, co warte ofiary krwi, co warte męczeńskiej śmierci i jeszcze straszliwszego męczeństwa życia?

Bohaterstwo typu męskiego — to owo oddanie bez zastrzeżeń całego swego „ja”, rzucenie siebie samego na jakiś całopalny stos, z którego żarów wyleci sfinks lepszej, piękniejszej doli. Wyleci? — Nie wyleci? Za chwilę — za wiek — za tysiąclecie — dla nas? — dla was? — dla prawnuków? Mniejsza o to! Bohaterstwo nie zawodzi; samo w sobie jest arcypięknym życiem.

Istnieje i inne jeszcze bohaterstwo, które nazwałbym chciała bohaterstwem żeńskiego typu (bez względu na fakt, że i to i tamto bywa czasem praktykowane przez osobnika odmiennej płci). Bohaterstwo niewieście — to też ofiara z siebie, ale bez stosów, bez płomieni, bez błogosławieństwa, czy przekleństwa tych, o których ofiarodawcom idzie. To dostojna i cicha ofiara szarego dnia, upadanie pod ciężarem nad siły, aby powstać i obojętnie na własną mękę dalej iść. Niema tu miejsca na gest szeroki, czy na efekt; to wpłacanie do skarbonkowej szparki, która się dla nas samych nie rozewrze, dorobku ducha dzień po dniu — całego, bez reszty — do ostatniego tchu.

Bohaterów typu męskiego wychowywało po najbliższe czasy męczeństwo narodu naszego nagminnie — i dziś mamy ich legion. Tragizm ich

w tem, że im sądzono było dokonać dzieła i nie zginąć — tak jak ginęły ubiegłe pokolenia.

Straszliwym, zupełnie nadludzkim wysiłkiem ducha, zwyciężyli. Cóż mają dalej robić z tem swoim bohaterskim sercem w piersi? Bohaterowie żyją — bohaterstwo się przeżyło. Mówi się o przekuciu miecza na lemiesz. Niestety, sprawa jest niezmiernie trudna, gdy chodzi nie o martwą stal, tylko o żywą duszę ludzką.

Ci ludzie — ten legion ex-bohaterów, godny najwyższej czci i wdzięczności potomnych — dziś nierzadko staje się bardzo ciężkim balastem tak bardzo umiłowanemu przez siebie społeczeństwu. Nie mam tutaj na myśli fizycznych inwalidów, ludzi, pozbawionych możliwości pracowania na chleb przez swą służbę ojczyźnie. Takich przyrodzić, wyżywić, uczcić — jest najprostszą powinnością tych, którzy wyszli bez szwanku. Człowiek bez nogi, ręki, oczu utracił całkiem, czy częściowo zdolność do pracy — ale nie przeszkadza pracować innym, nie obniża poziomu samej pracy.

Inaczej, niestety, bywa z tymi ex-bohaterami, którzy wśród iście bohaterskiego wysiłku ducha, zalamali się duchowo właśnie. A takich u nas — legion! Wojna to nie jest dobra szkoła, to nie jest dobry wychowawczy aparat. A u nas tysiące dzieci w tej właśnie potwornej „szkole” spędziło cały szereg lat — wiek ostatecznego kształtowania się swojej młodszej psychy. Przytem dzieci te — to właśnie kwiat narodu, najprzedniejsza elita, pepinjera obywateli w najszczytniejszym pojęciu tego słowa.

Wiele, bardzo wiele z pomiędzy tych orląt, przeznaczonych przecież do najpotężniejszych wlotów, pozostało przy życiu, by powrócić do krwią okupionej Ojczyzny z nadłamanymi skrzydłami. Oni — oni to właśnie, deprawowani przez ohydę wojny, nie mieli czasu rozwijać swoich możliwości umysłowych; oni w nadludzkim, ale jednostronnym wysiłku bojowym zwichnęli w sobie cenne — dziś jedyne walory pokojowego życia. Taki właśnie ex-bohater jakże często staje się w obecnej dobie tym upośledzonym pracownikiem, upośledzonym nietylko materialnie, przez to, że w wyścigu powodzenia musiał się dać zdystansować skrzętnemu egoiście, który przy ogniu, co innych pożerał, tak pięknie zdążył upiec pieczeń własną — ale i moralnie, gdyż wyszarpnąłszy ze siebie moc duchową do dna, dziś już naprawdę nie jest zdolny do równej, spokojnej, zmuśnej i intensywnej pracy dnia.

Są to wykolejeńcy. Są to „dusze, spragnione pokoju” i „dusze, spragnione miłości” — miłości kobiety swojej własnej, własnego dziecka, własnego, błogiego ciszą, ogniska rodzinnego — ale jednocześnie są to dusze ludzkie, skancerowane dziesiątkiem złych nawyków, dezagregujące ten byt pokojowy, którego łakną.

A strychulec życia codziennego bez miłosierdzia przygina górną podniesioną głowę. Przychożą — dumni — zająć należne sobie pierwsze miejsce w kuźni, gdzie się wykuwa przyszłość Polski; przyszli, jak pierworodni synowie, w poczuciu swego prawa, ale ich ręce bohaterskie nie udźwigną młota, nie uderzą miarowo — straciły rytm codzienności szarej, a urodzajnej...

A kobieta?

Kobieta nowoczesna przeżywa również, choć na innym planie, po-bohaterską epokę swego bytu.

Kobieta przedostatniej doby („płeć słaba” i „płeć piękna”), kobieta bez praw, pokrzywdzona, podporządkowana rodzinie, przeżywała także swoją dobę męczeńsko-bohaterską.

Młodość jej miała swój nimb rzetelnego dziewictwa, budząc nawet w zdeprawowanym mężczyźnie cześć. To było dla niego niedostępne, to mu imponowało.

A potem żona — ślubna żona — którą gdy obwołano żoną, to jakby ją „żywcem pogrzebiono” — też miała bezsprzecznie swoje wysokie dostojęstwo, swoją niekiedy męczeńską palmę. Małżeństwo — to był sakrament, misja (nie fach!), to było „na całe życie”, coś potężnego istotnie, jak śmierć, nieodwołalnego, niepozbawionego grozy.

Macierzyństwo — „błogosławieństwo” obdarzania istoty ludzkiej życiem, częściej, niż dziś, za cenę własnego życia — znowu sakrament, coś nieubłagalnego, ogarniętego uświęconym nakazem — to także było bohaterstwo, było jakoweś misterjum miłości ekspjacyjnej, przed którym pochylało się głowę.

Dziś to wszystko zanikło, skarłowaciało, weszło w szczelną ekonomję życia codziennego. Małżeństwo jest kontraktem między dwojgiem, z których każde wie, co da i co bierze; kontraktem, który nawiązuje się i rozwiązuje względnie do strat i zysków; dzieci się ma, lub nie ma, o ile ekonomiczne, czy inne warunki ku temu się nie nadają. Kobieta nowożytna ma swoje wymagania, swoje prawa i walory — ale element bohaterstwa wykruszył się i zwietrzał.

I ona — kobieta — jest dzisiaj także ex-bohaterką, często jeszcze nawracającą, siłą nałogu, ku przeminionemu cierpiętnictwu, sięgającą niewczesnym gestem anioła po aureolę na swej figlarnie krótkowłosej główce...

Są, a jakże, cenne zdobycze nowe. Jesteśmy równej siły z byłymi tyranami świata, nie damy się pokrzywdzić; gdy uwierają „więzy” małżeńskie, rozwiązujemy je, jak kokardkę, pociągnięciem za właściwy koniuszek, regulujemy macierzyństwo wedle gustu i możliwości materialnej...

Niekiedy tylko — jak atawizm — wylania się wśród mądrej i wygodnej prozy życia nowoczesnego zblakany gdzieś na starych, zarosniętych drogach naszych afektów, sen o zatraconem bohaterstwie. U mężczyzny — będzie to sen o białości anielskich skrzydeł, o bohaterstwie sakramentalnego misterjum do przeżycia z ukochaną, zdradzaną czasem, ale czczoną aż do grobowej deski, ale nie idącą w paragon z żadną inną kobietą — ze swoją „ślubną żoną”...

U kobiety sen przyodziewa umiłowanego w rycerskie zbroje, w promienne emblematy bojownika-ideowca, kto wie jednak, czy nie z ukrytem na dnie ducha zadowoleniem, że w rzeczywistości jest to spokojny współpracownik przy zdobywaniu dobrobytu zupełnie realnego.

I tak oto płcie obie jeden i ten sam zarzut odrzucają sobie wzajemnie:

— Niema u was (kobiet — mężczyzn) popytu na jednostki naprawdę wyższej miary!

Jeżeli tak jest istotnie, to świat nasz opadnie nisko w najbliższych pokoleniach, jak przełamana fala... może, aby się znów wypiętrzyć białą grzywą przyływu w nieskończonej przemianie bytu...

M. Beniśławska.



ZOFJA DZIĘCIOŁOWSKA-BRYKALSKA

## WYJDŹMY Z CHAOSU

Czy rola kobiety w rodzinie uległa również tak zasadniczym zmianom, jak jej rola w życiu społecznym? Rozbieżność zdań jest w tej kwestji wprost fenomenalna, zarówno wśród mężczyzn, jak kobiet. Na skali różnorodnych poglądów dwa są biegunowo różne: 1) zadaniem kobiety zamężnej jest być gospodynią i wychowawczynią dzieci, a niezamężnej... wyjść za mąż (!); 2) kobieta powinna uniezależnić się od przeszłości, stworzyć typ istoty samodzielnej, mogącej życie urządzać sobie dowolnie, bez względu, jakie na nią nakłada obowiązki płęć, mąż, czy dziecko.

Zdanie pierwsze trąci myszką, prócz tego jest beznadziejnie niezgodne z duchem czasu. Bo dziś, wobec rozlicznych zmian, jakie przyniosła epoka powojenna, aby być dobrą gospodynią, żoną i matką, trzeba właśnie żyć społecznie, być uświadomioną, możliwie wykształconą, trzeba zatem dużo żyć... po za domem, czytać, uczyć się ciągle, trzymać wciąż rękę na pulsie życia.

Pogląd drugi jest groźny dla bytu rodziny, godzi w jego istotę. Jest przytem niepsychologiczny. My, kobiety, musimy dążyć do zupełnego i faktycznego równouprawnienia, musimy mieć prawa i obowiązki równe (lub równoważne) z mężczyznami, ale... musimy zostać kobietami. I nie jest to naszą krzywdą. Nie jest to naszą niższością. Jesteśmy trochę inne — i to wszystko.

Choć czasy się zmieniły i tyle zyskałyśmy na szali wartości społecznej, to jednak... nadal my rodzimy dzieci, a nie mężowie nasi. Różnica fizjologiczna pozostała, choć włosy nosimy krótkie, palimy papierosy, bierzemy nagrody w rzucie dyskiem. Fakt, że rodziny dzieci i rodzic je będziemy nadal, jest rzeczą wielkiej wagi, a często bagatelizowaną dziś przez samą kobietę.

Na rodzeniu nie kończy się przecież różnica między mężczyzną a kobietą. Różnica ta sięga dalej i głębiej, niż funkcje fizjologiczne, lub właściwości anatomiczne. Może być objęta ogólnym mianem: macierzyństwo — co jest zupełnie czemś odrębnym od ojcostwa. Macierzyństwo (a myślę tu raczej o macierzyństwie potencjonalnym, o możliwości zostania matką, niż o macierzyństwie dokonanym) jest czemś, co ogarnia i przenika całą psychikę człowieka rodzaju żeńskiego, co czyni zeń kobietę.

Nie wierzę, rzecz naturalna, w stuprocentową kobietę i stuprocentowego mężczyznę. Takich — niema chyba. Ale są cechy, które stale się powtarzają w psychice kobiecej, a zdarzają się tylko u mężczyzn i odwrotnie. Są to cechy istotne, z którymi życie dotąd się liczyło, obecnie liczyć się prze-

staje. Są inne cechy, cechy sztuczne, wpajane drogą wychowania, często wbrew oczywistości lub nawet naturze, jak np. urojona „slabszość“, niedołęstwo życiowe kobiety (kobieta-powój), niższość umysłowa, którą dziś niektóre z nas chcą tłumaczyć jakimś atawizmem (czy cechy umysłowe muszą być dziedziczne z matki na córkę, nie syna, a z ojca na syna, nie córkę?), a jest to tylko przyznaniem się do własności nieistniejącej. To są cechy sztucznie wpajane. Z nimi liczyć się nie trzeba, należy zlikwidować je po dokonanej selekcji i zapomnieć o nich.

Ale są cechy istotne, sięgające rdzenia wewnętrznego życia człowieka, i z nimi nie liczyć się — może być cokolwiek niebezpieczne, zarówno dla jednostki, jak i ogółu. Smutnem się wydaje, że w czasach intelektualnego rozwoju kobiety (i psychotechniki) trzeba jej to przypominać, nawet narzucać. Upiłyśmy się swobodą, to nas tłumaczy, ale czas wytrzeźwieć. Społeczeństwo kobiece, zyskując dziś prawo do szerokiego życia, musi sobie dokładnie zdać sprawę z grożącego niebezpieczeństwa: by nie był to pochodz zwyczajnych niewolników, których pierwszą funkcją jest palenie mostów za sobą, śmierć dotychczasowym „tyranom“, zagłada wszystkiemu, co było realne w czasie niewoli. Ginie wówczas dużo zła, ginie jednak dużo dobra i piękna.

Rodzina nadal żąda od kobiety, aby była jej królową. Jeśli zmieniła się rola, to nie w tym kierunku, by kobieta przestała być kapłanką rodziny, ale by nie była nią wyłącznie: wprost spadł na kobietę nowy zespół obowiązków (i uciech), przysparzających pracy, lecz i zasługi.

Więcej zmieniła się rola mężczyzny, bo dziś jedynym głosem wołamy wszystkie o większy współudział mężczyzny w życiu i obowiązkach rodziny. Wołamy o inne, bardziej nowoczesne wychowanie synów, aby z nich nie wyrosli niedorajdy, którzy guzika przyszyć sobie nie umieją, aby nie byli w przyszłości jedynie żywicielami rodzin, ale ojcami rodzin.

Kobieta musi jednak nadal zostać kapłanką rodziny, tą główną sprężyną życia domowego, bo wyposaża ją do tego sama natura, ale i mężczyzna musi brać udział w jej obowiązkach. Nie zrzucamy z ramion tych słodkich obowiązków, lecz wprzegajmy w nie męskie społeczeństwo rodziny, bo to dopiero będzie siłą! Przeznaczeniem współczesnej kobiety nie jest przestać być „osłodą życia mężczyzny“, ale przeznaczeniem mężczyzny jest stać się również dla niej osłodą.

Równość — tak, równość. Ale jest pewna różność w tej równości. Jak powiedziałam — tkwi ona

w naturze. Kobieta jest drobiazgowsza (wynik macierzyństwa), dlatego bardziej nadaje się do organizacji gospodarstwa; jest cieplejsza (wynik macierzyństwa), dlatego jej łatwiej, niż mężczyźnie np... cerować pończochy; ma większą intuicję (też macierzyństwo), dlatego musi silniej, niż ojciec, oddziaływać na wychowanie dziecka. Wszystkie cechy t. zw. kobiecości skłaniają do przekonania, że jednak powołaniem kobiety, nie mężczyzny, jest życie ściśle rodzinne i podjęcie wszystkich obowiązków, z niem związanych. Rola kobiety jest ta sama.

Powtarzam: zmieniła się raczej rola mężczyzny. Przestał on być jedynym żywicielem, bo w setkach i tysiącach rodzin kobieta pomaga efektywnie, przynosząc pensję miesięczną, czy wypłatę 2-tygodniową, a we wszystkich średniozamożnych rodzinach bierze udział w utrzymaniu rodziny pośrednio, pracując w domu ciężiej czasem, niż mąż po za domem. Więc jeśli obowiązek zarobkowania efektywnego, czy pośredniego, kobieta spełnia, choć z wysiłkiem, lecz i z poczuciem konieczności, to śmiesznym jest, by „pan domu” po swych 8 godzinach pracy miał 8 wypoczynku i 8 snu, gdy żona jego pracuje 16, a i w nocy musi pielęgnować małe, czy też chore dziecko.

Czas, by mężczyzna zszedł z piedestału pana i władcy, a wszedł na piedestał ojca rodziny. I czas, by kobieta przestała gonić za zrzuceniem z siebie obowiązków i trosk pani domu, a umiejętnie wciągnęła w nie mężczyzn (nie przestając być głównym motorem) — mężów i synów — i nauczyła ich szacunku dla swej pracy, jak sama szanuje pracę męża. A szacunek ten zyska, gdy sama go czuć będzie i gdy od pieluszek w tym duchu chować będzie i synów i córki.

Chaotyczność życia dzisiejszej kobiety i jego zło tkwi w tem, że nie umie ona zająć zrównoważonego stosunku do tego, czego potrzebuje dziś od niej społeczeństwo i rodzina. Wyczuć puls tych potrzeb,

zastosować się do nich (zdolność asymilowania jest też cechą kobiecą), znaleźć złoty środek i zacząć pić całym haustem z tej bogatej krynicy, jaką dają dziś zmienione warunki — to zadanie dzisiejszej kobiety.

Z tych zmienionych warunków wyciągamy najdalej idące wnioski, pamiętajmy tylko o tem zawsze, że jesteśmy kobietami (czy „tylko”, czy „aż” — to nie gra roli). Szanujmy w sobie tę odrębność i jeśli chcemy normalnego rozwoju, we wszelkich poczynaniach (np. wybór zawodu), idźmy za głosem tej naszej odrębności. Inaczej zmarniejemy, jak zmarnieje cała doniosłość równości prawnej kobiety. Nie na to walczymy o tę równość, by ją zyskać, ale by ją wyzyskać dla postępu, by przez dostęp do życia publicznego wnieść tam jakiś prąd ożywczy — tę naszą „inność”.

Powiedziała p. Grünberg-Aupourrain, że dziś „najważniejszym zadaniem feminizmu jest obrona kobiecości” (art. p. Podhorskiej-Okołów w N-rze 27 „Bluszczu”). Co chciała przez to wyrazić? Przypuszczam, że zdaniem tem żąda od kobiety, by zaniechała przemożnej dziś chęci stania się... mężczyzną, a poszła po linii swego powołania i naturalnych uzdolnień, by była zawsze kobietą, we wszelkich swych poczynaniach, na trybunie, na katedrze, na lawie poselskiej i przy łóżeczku dziecka.

Uporządkujmy nasze życie. Sprecyzujmy w swej świadomości, czego chce od nas świat po dokonanych i dokonywujących się zmianach i czego my chcemy od niego. Zróbmy rachunek sumienia, postanówmy poprawę i pchnijmy bryłę świata na lepsze tory. Bo są w nas siły niewydobrane, bo rozporządzamy ogromną energią potencjalną. Jesteśmy niezużytym i niewykorzystanym elementem ludzkości. Od nas zależy, czy zburzymy tylko to, co było, czy też damy ludzkości podwaliny lepszej, jaśniejszej przyszłości.



EUGENJA MASIEJEWSKA

## W SŁOŃCU

*Skąd przyszłam? Odejdę dokąd?  
Stałam w słońcu na chwilę,  
zapadłam w chwilę głęboko,  
jak pszczoła w kwiatorowym pyle.*

*Niemen po żyłach mi ciecze,  
żyłami słońce się leje...  
Jak trudno ci wydrzeć, człowiecze,  
nadzieję!*

*Już przecie spaliłam się docna,  
gdy szczęście wytrysło jak rzeka...  
Znów z życiem chcesz związać się mocniej?...  
Człowieku! Człowieku! Człowieku!*

HERMINJA NAGLEROWA

23)

## ZAWALIDROGA

(powieść)

Na dygocących wargach ojca wahały się jakieś słowa. Dobierał je długo i z namysłem. Znowu jakby zbronzował z wysiłku, a pod oczyma zakwitła rdza rumieńców. Wzrokiem poszedł za dymem papierosa, okrążającym lampę. Ale i tak, nie patrząc na syna, wyczuł zaczajony, wrogi gest. Nie łatwo było teraz wybrnąć z nieprzyjemnej, rozdrażniającej sytuacji. Tak właśnie, jakby ugrzązł w błocie i usiłował niezręcznymi ruchami wydobyć się z lepkiej mazi. I choć Kaliniecki już zdołał opanować się, nic przecież nie mógł wymyśleć takiego, co by się w tej chwili dało dostosować do rozumu tego dzikiego młodzieńca.

— Więc naprawdę nigdy już nie będziemy przyjaciółmi? — zapytał ostrożnie.

Pięści Franka rozwarły się, a ręce bezsilne i zmęczone ułożyły się ciężko na brzegu stołu. Nie oczekiwał, że w takiej chwili to właśnie powie ojciec i zresztą wcale nie mógł wiedzieć, czy szczerść, czy może tylko przemądra chytrłość kryje się w tych uprzejmych słowach. To pewne, że nie zasłużył na nie i że nigdy nie pomyślał nawet o przyjaźni dla ojca. Ale żadne rozważania nie mogły już przemóc okrzyku:

— Chciałbym, żebyś mnie kochał!

Suche, lśniące powieki ojca spadły na oczy, a potem długo, opornie podnosiły się, odkrywając blade, niebieskie źrenice. Patrzyły sztywno na syna. Ale, choć tak nieruchome, jakby w jeden punkt wbite, wybierały każdy szczegół twarzy, zalanej rumieńcem.

Coś nieznanego dotąd, coś śmiesznie tkliwego, czego istoty nie można było tak napoczekaniu sprawdzić, ścisnęło serce. Odczuwało się to, jak zapowiedź choroby, już rozgrzanej gorączką. Tak samo zaciężyła głowa, tak samo chciało się nad sobą uzalić. Kaliniecki powiedział więc trochę zajakliwie:

— Franku, moje dziecko...

Kaliniecki rozumiał, że nie należy teraz już nic więcej mówić. Nie znał przecież tych słów, któreby były dość proste i wiarygodne. Wolał nawet nie patrzeć na syna, jak wychodził z pokoju, powłócząc nogami, jeszcze wzburzony i nieprzekonany.

Na ganku zetknął się Franek z ogrodnikową. Stała pode drzwiami wyświeżona, wystrojona w białą bluzkę, a, ujrawszy Franka, cofnęła się szybko.

## XXIII.

Metalowy chłód nocy przylgnął do gorących policzków i westchnienie plusnęło w powietrze. Od księ-

życa było prawie zupełnie jasno, a, doprawdy, trudno teraz było myśleć o powrocie do oficyny i o spaniu.

Za furtką wyścieliła się droga srebrzystym aksamitem kurzu i Frankowi zdawało się, że trzeba odejść stąd, gdzieś sobie pójść samemu i samemu rozważyć te sprawy, już spełnione, a zmieniające cały świat. Był przecież sam sobie inny w tej chwili i aż po głębi serca przepelniony zdziwieniem.

Pobokiem wsi, głównym traktem szedł jeszcze nie ocknięty. Śpieszył się, a tak było, jakby to jego pochłaniała przestrzeń. Czasem kamień, znaczący wymiar drogi, wyskakiwał z czarnego zwelnienia trawy i przykucał martwo, jak przerażony zajęc. Czasem przytrzymywało uwagę dalekie stękanie jakiegoś wozu, który wreszcie mijał, naładowany sianem i obwisłymi bokami, niczem lama, posuwał się wolno naprzód. A czasem jakiś przechodzień wypływał z nocy i skradał się ostrożnie, udając obojętność.

Franek, mocując się z czarodziejstwem cieniów, wypadających znienacka z pod przydrożnych drzew, nie mógł uporządkować natłoku myśli. Na jednej płaszczyźnie zgromadziły się przeżycia i poznania wczorajsze i dzisiejsze. Jak z burzliwej toni wyławiał fakty i nawracał do nich z dawnym uczuciem żalu. Bo tamto było przecież prawdziwe, tamto miało swój długi czas istnienia. Jakaż więc siłą posiadało dzisiejsze słówko ojca, by zwalić odrazu tamte, mocne i stwierdzone sprawy?

Twarze bliskich i wtajemniczonych w jego dotychczasowe cierpienia podsuwały się pod oczy, jak gdyby chciały świadczyć temu, co już może nazawsze mijało. Więc należało chyba stracić zaufanie do tych przyjaciół, którzy nie nawykną tak łatwo do jego przeinaczonej doli? Czemże przekona Janka, jak to wytłumaczy Klimie? Zwłaszcza Klimie, która wie i rozumie wszystko inaczej. I tak teraz było, jak gdyby musiał odejść od swoich przyjaciół, bo nie uwierzą mu, bo go poprostu nie potrafią poznać w szczęściu, skoro znali go tylko nieszczęśliwego.

— A ja, ja sam?

Franek zląkł się. Bo między cykającym gwarem zboża, między wykrzywionymi pniami wierzb — szedł niby sam sobie naprzeciw. Coraz bliżej podchodził rozpoznawany, a jednak obcy. Jeszcze chwila, a zderzy się z tamtym i wtedy napewno wszystko okaże się snem tamtego. Ale właśnie ten drugi wysmyknął w górę, jak w brawurowym skoku o tyczkę, i już go nie było dla oczu, choć trwał jeszcze w przerażeniu. Nie stąd, a z niewiadomych dziedzin wyłowiło ucho ton, akord, urwany motyw. Co będzie, co się sta-

nie już jutro, za rok, za dziesięć lat? I tu i na całym świecie? Może dzieje się to już właśnie teraz, w belkocie nocy, może już się tu stwarza ten kształt? Może już w nim samym — z tego uniesienia, z tych krzyżujących myśli — układa się przyszłość? A przecież nic nie wie, nic nie widzi, choć z takim szumem pędzi w przestrzeń i czas. To i tamto szarpnęło sercem i stało się wiadome, że nic nie potrafi zapomnieć, że przyszłość — to właśnie uparte trwanie pamięci. Zdało mu się, że, obciążony wagą swojego cierpienia, idzie na dno tej nocy. Urastał nad nim wir wysoko-siężny, oblewał go ogrom, nieobjęty wszechświat!

Franek musiał stanąć na chwilę, aby się uspokoił łomot serca. Wtedy spostrzegł nad sobą płaskie ramię drogowskazu, które kusym paluszką celowało, jak pistoletem, w głąb topolowej alei.

Przestrach przemienił się odrazu w nerwowy wstrząs śmiechu, bo białe litery na ramieniu pouczały, że tędy wiedzie droga do Żarnówki. Topole, jak wysokie, dymiące kominy wytyczały tę drogę, a między drzewami widać było łąn kwitnącej hreczki, niby zaśnieżone pole. Franek nie znał tej drogi, bo od kalinieckiego folwarku można było polnemi drogami skrócić sąsiedzką odległość. Tędy szło się wprawdzie ładniej i jakby bardziej „dworskim szlakiem“, ale za dnia pewnie sino tu było od kurzu, zwianego z głównego traktu. I choć należało teraz zawrócić, bo nie wypadało tak późną nocą wążać się w obręb obcego domu, Franek szedł dalej.

Po jakimś czasie można już było pozbierać kapryśne światelka dworu, pryskające wśród ciemnej masy parku. Widać nie spali jeszcze, a nawet — nie, napewno się nie mylił — patefon aż tu wysyłał nosowe brzęczenie muzyczki. Więc było tam wesoło i może tańczyli!

Łuczański tak się ucieszył Frankiem, „jakgdyby wygrał dolarówkę“, Bo chociaż był i Janek i Staś z Gorzelowa, to jednak niespodziane zjawienie się gościa było szczególnie mile. Maryna siedziała w fotelu i paliła papierosa, Stefa swoim zwyczajem wtłoczyła w kąć Adonisa i kudłami wytrząsała jedwabiste szepoty. Staś majstrował przy patefonie i tak nisko pochylał się nad płytą, że to chyba nie igła, a jego spiczasty nos krążył wkoło po rowkach rozspiewanych angielskimi słówkami. Łuczański powiódł Franka do stołu, więc trzeba było napić się trochę likieru i odmrużnąć oczyma przepijającemu gospodarzowi.

Właściwie był tu wesoły tylko patefon, który coraz innemi skrzeczał melodjami. Wreszcie rozśmieszył wszystkich dobrze znanemi: „Czy pani mieszka sama?“ Stefa wlepiła się w tors Janka, a Franek uśmiechnął się złośliwie, gdy go minęli w tańcu, i warknął Jankowi w samo ucho: Jadzka! Pamiętasz?

Łuczański mlamlał w miękkich fałdach języka: — Ach, ta młodzież dzisiejsza! Nie to, co my, zrodzeni w niewoli, okuci w powiciu, rozmarzeni sercowicze! — Ironizował, jak to „oni“ mierzyli wszystko tasiemeczką, wywlekaną z serc.

I widocznie nie bez celu ponał pan Łuczański takim zachwytem, bo oto już zarzucał harpuny, już przytrzymywał ofiarę bolesnemi razami.

— Widzisz, mój drogi, właśnie twoja matka, jedna z tamtej, sentymentalnej epoki. Niekoniecznie przecież musiała się tak niepraktycznie urządzić. Trzeba było przymykać te śliczne oczęta na figle kochanego Władka, trzeba było nie brać tych sprawek na serjo. A teraz mówisz, że nie bardzo tam opływacie w dostatki, że pracuje. Czy to dobrze i mądrze tak? I co dalej? I co ty zamierzasz, młody panie?

Mrukliwość Franka nie zrażała Łuczańskiego. Pytania obmacywały, jak natrętne dłonie lekarza, gniotąc właśnie w najboleśniejsze miejsce. Ale nie wypadało ani się skrzywić, ani stęknąć, a „dobry lekarz“ chciał jeszcze wiedzieć to i owo o złotej Zosińce: i z kim tam żyje, i gdzie bywa, i wogóle, jakie to całe życie warszawskie. Aż doszedł do konkluzji, że powinna właściwie wyjść zamaż; nawet dla syna byłoby lepiej.

Wśród rozmruganych rzęs błysnęły krwawe wstążki: — Zaraz... zaraz... trzeba cicho, dla siebie tylko pomyśleć, że w istocie mogło się to stać, że to się jeszcze może stać! — W podpatrujących oczach Łuczańskiego jest właśnie zachęta i przyzwolenie, aby się tak stało i miałoby się ochotę plunąć w te oczy, aby odrazu oslepiły i nie były tak wszystkowidzące.

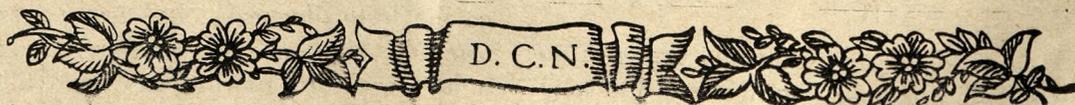
— Niech pan ze mną zatańczy!

— Już mi go zabierasz — jęknął z afektacją Łuczański.

Prawa ręka przegięła kręgosłup, a lewa dopasowała się płaską dłonią do dłoni Maryny. Dobrze było nie pamiętać już o niczem innym, a tylko odmierzać przepisane kroki, zmieniać figury i zmuszać do posłuszeństwa tancerkę. W źrenicach Maryny rozprzestrzeniła się zielona łąka, a grymaszące wargi zakwitły blisko. Figury tańca miały zresztą swoje przyuczone i nagle sprawdzające się zamiary. Krok shimmy brał go ku sobie, wiódł wstecz, poniewierał w okrętach.

Kolano tancerza, wcisnięte między rytmiczny bieg ud tancerki, jakby wyrażało tyrańską wolę silniejszego. Czasem sprzymierzały się kroki w trzy przyjacielskie i zgodne pas i tylko ręka na plecach pieczętowała posłuszeństwo tancerki.

— Doskonale pań tańczy, ale już mam tego dość! Chodźmy stąd, gdziebądź na powietrze.



M. H. SZPYRKÓWNA

## Z WĘDRÓWKI

VI.

## KONIEC LOURDES. ORLEAN.

Artykuł, uprzedzam zgóry, będzie urozmaicony poszukiwaniami geograficznymi.

Kontempluję z prawdziwą rozkoszą, wysoko nad miasteczkiem z tarasu mego hotelu, codzienne, świetliste szarady na dole, które się zaczynają około dziewiątej wieczór i trwają ze dwie godziny. To — procesje z kagankami, specjalna atrakcja dla pątników. Z góry wygląda to prześlicznie. Kościoły są iluminowane od góry do dołu, tak, że wyglądają nie jak gmachy, a jak świetliste miraż. A nisko w dole, rozwijając się i zwijając, krzyżując i wymijając wzajem, z niemilknącym, przeciągłym, tysiącgłosem: — Ave! Ave! Ave Maria!... — dziesiątki procesyj okrążają w dziesięciu kierunkach czarny w mroku nocy plac, kreśląc kagankami świetliste szarady. Aż wreszcie śpiew cichnie, ognie gasną, kościoły mierzchną — i malutkie, cichutkie Lourdes pogrąża się w sen do jutrzejszej pierwszej mszy.

Jest tu tak uroczo, tak swoiście i tak podpirenejsko, że siedziałabym miesiącami. Aż nagle dowiaduję się z przestraszoną uciechą, że za trzy dni jest wielka uroczystość Joanny d'Arc w Orleanie, z prezydentem Francji, legatem papieskim i ministrem Anglii, w rocznicę uroczystego pięćsetlecia oswobodzenia Orleanu. Czyli, że ponieważ i tak mam wracać do Paryża, ergo przejeżdżać mimo Orleanu, więc należy to uczynić w szybkim popłochu i być owej wiekopomności przytomną.

I oto powstaje pytanie: jakimi drogami ma się wywiedzieć cudzoziemiec, będący w Lourdes, kiedy mianowicie odbywać się będą uroczystości w Orleanie?

Doszłam do wniosku już wkrótce, że droga taka prowadzi — na Polskę. Jestem zupełnie pewna, że w Warszawie tak czy inaczej o tembym się dowiedziała. Tam — nie było sposobu. Pytałam cywilów i wojskowych, niedowiarków i księży, stowarzyszenia katolickie i magistraty miejskie — i nie! Głucha niechęć była mi odpowiedzią, zmieniając się czasami w jawne oburzenie, że czegoś takiego spodziewać się mogą. Mają swoje własne lokalne sprawy: nie mogą się zajmować sprawami całej Francji! Tłumaczyłam, że przecież to Joanna, że przecież to Orlean, że przecież nawet my w Polsce, że możeby jednak jakoś, ktoś, gdzieś?... Posyłano mnie od Anasza do Kaifasza i wkońcu, zziąjana i rozgoryczona, zdecydowałam się pojechać na chybił trafił na

czwartego maja. Jakiś zakonnik uroczyście mnie zapewnił, że obchód zaczyna się w tym dniu.

Oblałam tedy łzami przedwczesny i pośpieszny wyjazd z uroczonego naprawdę miasteczka, jakim jest, pomijając wszelkie inne atuty, Lourdes, zwiedziłam w elektrycznym pośpiechu wspaniałe stalaktyty, które stanowią jeden z jego ósmych cudów, pożegnałam, jak umiałam Grotę, do której niewątpliwie każdy, kto może, wróci bodaj jeszcze raz — i wsiadłam w dalekobieżny pociąg na Paryż. I mniejsza z tem, jak to było, dość, że z właściwym francuskim kolejom wdziękiem, konduktor ani kontroler nie pojawiali się — rozstap się ziemio — ani blisko. Napróżno pytałam pasażerów, jak i gdzie należy się przesiadać i czy należy wogóle? Każdy był innego zdania. Płacząc tedy rzewnie w duchu, poleciłam się opiece niebios — i obudziłam się właśnie w chwili, gdy pociąg, złośliwie sapiąc, odchodził pocichutku od dworca, ozdobionego wielkim, czarnym napisem: — Orléans. Tam, o niestety! powinnam się była właśnie przesiąść do Orleanu, a zamiast tego jechałam dalej swobodnie na Paryż.

Ostatecznie, Paryż jest zbyt ponętny, aby ktoś zbyt długo rozpaczał, że do niego, bodaj przypadkiem, trafi. Najgorzej żałować spraw, które nie dadzą się zmienić. Podumawszy tedy smętnie chwilę i drugą, uspokoiłam się. Kto wie? Wierzę w przeznaczenie. Widocznie, trzeba było, abym najpierw zajrzała do Paryża!

I, jako żywo, okazało się, że trzeba. Pojechawszy czwartego, zobaczyłabym — najwyżej — Orlean, niezależnie od obchodu Dziewicy Orleańskiej, o co mi głównie szło. Podsumowałam więc w Paryżu trochę wrażeń z Lourdes, napisałam parę artykułów, zobaczyłam mile twarze — i ósmego maja, który to dzień był, jak się pokazało, centralnym dniem obchodu, wyprawiłam się na dworzec Orleański.

Przeznaczenie nie zawiodło: dworzec był właśnie u szczytu chwały, bo okazało się, że w tym samym czasie odjeżdża do Orleanu uroczysty pociąg prezydenta. Popularny we Francji p. Dumergue, zwany uparcie przez wszystkie rewjetki i brukowce wesolem imionkiem Gastonneta, właśnie wkraczał w triumfalnym otoczeniu, uprzejmie kłaniając się na wszystkie strony z nieodłącznym a sławnym już uśmiechem (bardzo zresztą miłym, jeśli idzie o prawdę) — na kobierce, wyściełające mu drogę do wagonu. Bodaj to być prezydentem! Zaledwie orszak, kwiaty, chorągwie i orkiestry zlokalizowały się w pociągu prezydjalnym, na dworcu wybuchła Sodomą i Gomora. Paryż uruchomił tego dnia do Or-

leanu tyle pociągów, że nie śmiem w Polsce nawet głośno ich liczby wyrazić, ażeby nie stwarzać precedensu dla jakiego Konstancina czy Grodziska, któreby także zechciały może mieć ich więcej, z narażeniem się władzom kolejowym: a poco drażnić iwa?... Dość, że pociągi śmigają, jak pociski z kuromiotu, a i tak tłum szalał i szturmował do coraz to podstawianych nowych wagonów, aby za chwilę... nie znaleźć miejsca. Wtłoczona impetem ciżby w jakiś kolejny pociąg, pędziłam czas jakiś przed siebie po karkach, aż opadłam na stojące po drodze pudełko od kapelusza i pod żalosne jęki jego odległej o pół wagonu właścicielki, nie ruszyłam się z miejsca aż do Orleanu, czyli przez godzin dwie. Miałam słodkie złudzenie ojczyzny po długich miesiącach zagranicy: tak się w Warszawie podróżuje do Zielonki albo do Milanówka w miły, tłoczny, ożywiony ruchem podmiejskim, świąteczny dzień!

Ale oto — Orlean. Wspaniałe sukna, arki z zieleni i orkiestry, z tłumem cylindrów i wstążeczek Legji, jeszcze ozdabiają dworzec, który świeżo przyjmował prezydenta. Rzucam się do jakiejś wstążeczki i zaklinam czułymi słowami, aby mnie zaprowadzili, gdzie należy, gdyż uroczystość odbywa się za biletami, dawno rozchwytanymi. Nie mam żadnego biletu, ale mam legitymację dziennikarską z Polski. To pomaga. Uprzejmy pan, który się okazał merem miasta, jest zmartwiony, ale pociesza mnie, że bylebym się trzymała blisko niego, to już nie zginę. Ale blisko niego trzyma się około dwustu osób, i konkurencja przewyższa moje siły. Miotam się czas jakiś spazmatycznie za powiewającą czernią jego galowego stroju, usiłując nie zgubić z oka iskierki na cylindrze, który jest szczególnie lśniący. To mnie tak wyczerpuje, że wkońcu gubię cylinder i mera, w przelocie tylko dowiedziawszy się, że zgłosiła się już do niego inna „dame polonaise”. Zawiadomiła go nawet, że ma coś do powiedzenia na bankiecie, którym miasto będzie podejmowało prezydenta i gości. „bo chociaż nie umie może zbyt poprawnie mówić, ale serce ma „très français”.

— Elle l'avait dit très gentiment!... — zapewnia mer, widocznie na widok mojego zaniepokojenia. Chciałabym się dowiedzieć imienia nieznanej koleżanki, bo a nuż byłaby znana, i znalazłabym rodaczkę w tym historycznym, ale francuskim, bądź co bądź Orleanie?... Ale mer właśnie ginie i wylewam się wraz z tłumem na ulicę. Jest wielka, szeroka, wspaniale udekorowana chorągwiami i zielenią na całej swojej długości — i zapłakana najrzęsijszą ulewą.

— Parasol noś i przy pogodzie — radził popularny odtwórca japońskich aforyzmów w Polsce: i dobrze radził! Oceniałam to tem więcej, że naturalnie parasola nie miałam. Co robić? Dla Joanny d'Arc można, ostatecznie, poświęcić jeden więcej kapelusz, czy nie? Poświęciłam, i uspokoiliłam się odrazu.

Jak ulica szeroka, cisnęły się tłumy, płynąc niepowstrzymaną falą od brzegu po brzeg. Dokąd? Wiedziałam, że dopytywać jest niewskazane i bezcelowe: każdy powie inaczej. Ale oto obok wspaniałego posągu Dziewicy na koniu, skręciliśmy — i na niebie wyrysowały się majestatyczne wieżycy katedry, gdzie miała być uroczysta msza. Tłum się zakotył. Zaczął się ruch: kogoś przepuszczano, kogoś odpychano, tłok zrobił się nieopisany — aż z wieży zabrzmiały dzwony, i nagle koronkowa krata na wysokim krużganku wolniutko się zasunęła, przepoławiając czarną masę tłumy: na tych, co weszli, i na tych, którzy zostali moknąć, a między którymi byłam i ja.

Nie byłabym jednak zupełnie sobą, żebym, uparłszy się, nie dotarła za ową tajemniczą kratę, czego potem szybko pożałowałam. Kościół wspaniały i potężnych rozmiarów, był podzielony na krateczki, a przy każdej stał cerber i żądał biletu, którego, rzecz prosta, nie miałam. Opadłam z wymowy i z rezygnacją umiejscowiłam się na jakimś pustym jeszcze krześle. Ale ponieważ było właśnie kazanie i natchnienie mówcy wyjątkowo dopisywało, po kwadransie wyprowadziłam się zpowrotem, przezornie nie przekraczając jednak kraty, przed którą wciąż falowało czarne morze tłumy, jak oko sięgało wdal. I, Boże, cóż za setną pociechę można było mieć z samego zbierania wzorków różnych panius z prowincji z progeniturą, które przybyły zapóźno i ujadły u kraty!

Ale oto powstał ruch: to zaczynało wychodzić. Najbarwniejsza falanga kościelników w pończochach i frakach wysypała naprzód, rozpychając tłum na strony i szykując miejsce. Pompa uroczystości państwowo-kościelnej, którą legat papieski uświetnił, wraz z dworem, swoją obecnością, rozwinęła się przed oczyma, jak pochód z nieprawdziwego zdarzenia. Kapelusze z piórami, pierogi, szyte złotem fraki, pończochy i klamry służby; togi, fiolety, purpura i bogate błamy kleru i dygnitarzy; gwiazdy, dekoracyjne płaszcze, miecze i krzyże kawalerów rozmaitych orderów i zakonów; a wreszcie nieprawdopodobna liczebnie i optycznie wspaniałość pochodu kardynałów, których kilkometrowe treny, niesione przez pazików, tworzyły malowniczą, ruchliwą wstęgę w ciżbie tłumy, głowa przy głowie zalegającego ulice: wszystko to, przy biciu cudownych dzwonów, śpiewach i wiwatach, stwarzało obraz zaiste historyczny. Nawet deszcz nie mógł przeszkodzić jego wspaniałości!

Podczas, gdy pochód udał się pod pomnik Joanny i na uroczyste śniadanie do prześlicznego pałacu magistrackiego, poprzednio rezydencji historycznej wielu królów i między innymi — Marji Stuart: słońce się trochę namyśliło. To też ku wieczorowi uroczystości, nieprzerwanym ciągiem odbywające się w rozmaitych punktach miasta, mogły rozwinąć ca-

lą przewidzianą okazałość. Dosięgły szczytu w wieczornej iluminacji. Była to bajka z tysiąca i jednej nocy, prawdziwa feerja światel, któremi miasto było spięte u góry, jak brylantowemi klamrami, i zda się, zawieszona u ciemnego nieba.. Wszystkie główne ulice były ozdobione jednolitem sklepieniem z łuków kwiatowych, z lampką w każdym kielichu, z pękami chorągwi, proporców i wstęg i z tarczą Dziewicy oraz Orleanu, spinającemi, jak medaljon, środek każdego łuku. Ani jedna ulica nie było iluminowana jednakowo: dekoratorzy prześcignęli się w pomysłowości. Szło się, jak przez zaczarowany

wirydarz Państwa Elektryczności, popod wspaniałe udekorowanemi gmachami (wobec których nasz Trzeci Maj z czerwonym orzelkiem z papieru na brudnym balkonie może się schować pod ziemię), aż do samego dworca — gdzie znowu właśnie odchodził pociąg prezydenta z orkiestrą i owacjami. I rozmyślało się o przedziwnych kapryśkach historii, która wynosi dziś na wspaniałe ołtarze skromną wieśniaczkę z Domremy, przed pięcioma wiekami spaloną w hańbie na stosie, jako czarownica i heretyczka — a któż zgadnie, kogo z dziś wyniesionych na szczyty jutro potępi i odwoła od czei?...



## TAŃCE POLSKIE

Zofja Stryjeńska: „Tańce polskie“ — 11 wielobarwnych rotogravjur — słowo wstępne napisał Artur Schroeder. Druk i nakład Drukarni Narodowej w Krakowie.

W szarej tece zakonspirowanych jedenaście wulkanów polskiego temperamentu. Stryjeńska jest mistrzynią ruchu we współczesnym malarstwie nie tylko polskim; w tańcach osiągnęła rekord żywiołowości, na gorącym uczynku chwytając nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe przegięcia, najzuchwalsze ruchy, urągające, zda się, prawu ciężenia, a podległe jedynie nakazom pasji i logice artystycznego skrótu.

Założeniem Stryjeńskiej w „Tańcach“ było osiągnąć najwyższy moment ekspresji, choćby kosztem autentyczności. Mniejsza o to, czy dany taniec takim jest naprawdę, najważniejsze to, że ona tak, a nie inaczej go widzi. Krańcowe uwydatnianie cech charakterystycznych może doprowadzić do karykatury, tak się np. stało w „Polce“ w „Tańcu żydowskim“ i w „Polonezie“. Humor, z jakim artystka trafnie potraktowała trywjalny w samej swej naturze i w naturze środowiska temat „Polki“ i „Tańca żydowskiego“, zawodzi i załamuje się w „Polonezie“, dając efekt przesadny, graniczący z parodią.

Czem się to dzieje? Tem, że Stryjeńska widzi wszystkie tańce pod kątem współczesności i ludowości. Tańce szlacheckie, dziś już poniekąd historyczne, jak polonez i mazur, wymagają stylu. Sam kostjum nie wystarczy. Tymczasem w mazurze mamy rozhułkaną parę wspaniałych zuchów w kontusikach — parobasa i dziewuchę, a w polonezie dwie pretensjonalne marjonetki: krygującą się damę w robronie i podo-

choconego szlacheciurę. Dostojność, posuwistość, wykwint tańców salonowych nie leży w naturze Stryjeńskiej, w zetknięciu z nimi czuje się nieswojo; jej sil-



na, nie uznająca sprzeciwu indywidualność musi je przetworzyć, nałamać do własnych pojęć, stopić w ogniu własnego temperamentu.

I tu tkwi kość niezgody między koncepcją Stryjeńskiej, a uświęconymi pojęciami ogółu o tańcach narodowych. Przywykliśmy do nich przykładać miarę tradycyjnego idealizmu. Mazur i polonez — to dla nas nietylko ukostjumowane zaloty, ale taniec prababek, romantyczny flirt sarmatów z kontuszem i karabela.

Te dwa tańce otoczyła jakaś ceremonjalna aura, zasklepiła je poniekąd skorupa czcigodnego szablonu. Otóż Stryjeńska organicznie nie znosi szablonu, a szablonem jest bądź co bądź każda tradycja. Stryjeńska tworzy tak, jakby od niej zaczynała się sztuka. Wszystko to, co jest żywe, dynamiczne, co krzewi się, plonuje, rozrasta — znajduje w niej artystycznego rzecznika.

Dlatego jej mazur stanowi ostry rozdźwięk między tradycyjnym kostjumem szlacheckim, a czysto ludowym gestem, jakim artystka chciała wyzwolić życie z zastygłych form konwensu. Cel został osiągnięty: mazur Stryjeńskiej schłopiał, ale jest porwijającym manifestem życia.

Proces przelania krwi ludowej w żyły tańca szlacheckiego, niebezpieczny nawet w mazurze, był ekspe-



rymentem, nie dającym się zgoła zastosować w polonezie. I tu nastąpiło załamanie. Polonez, który wśród tańców polskich możnaby nazwać ostatnim uśmiechem jesieni, polonez, ten najwyższy wykwiut polskiej rasy i kultury towarzyskiej — pod pędzlem Stryjeńskiej stał się konwencjonalnym przeżytkiem, śmiesznym produktem zdegenerowania, tańcem, wbrew swej naturze, o zacięciu charakterystycznym, zresztą doskonale parodującym cechy danej sfery, podobnie jak Polka z przedmieścia, lub Taniec żydowski.

„Polonez” stanowi moment poniekąd rewelacyjny w twórczości Stryjeńskiej: naświetla on i wydobywa na jaw poważną szczerbę w jej żywiołowym talencie: brak intuicji w zakresie stylu. Natomiast wszędzie tam, gdzie do głosu przychodzi instynkt, Stryjeńska jest bez konkurencji.

Jej „Oberek” „Kujawiak” „Kołomyjka”, „Zbójnicki” i „Góralski” — to nieporównana gloryfikacja żywiołu, to już nie głos, ale krzyk rasy, który, zdaje się, powinien rozsądzić formę artystyczną, a jednak pozostaje z nią w doskonałej zgodzie.

Tańce zaopatrzył pięknym słowem wstępem znany esteta Artur Schroeder. Malarskie wizje Stryjeńskiej znalazły w nim entuzjastycznego komentatora. Tak na dzieło sztuki patrzy prawdziwy poeta, przeżywający jakby wtórny moment tworzenia i dzielący się z czytelnikami świeżo odkrytym źródłem rozkoszy artystycznej.

S. P. O.

## ZAMKNIĘCIE POWSZECHNEJ WYSTAWY KRAJOWEJ

„Zwyciężyć i spocząć na laurach byłoby klęską”.

Spółceństwo polskie poszło w myśl mądrej dewizy swego wielkiego Obywatela i, za ledwie podleczone po klęskach wojny, za ledwie zorganizowane po wiekowym niebycie państwowym, stanęło do wyścigu pracy, który stał się triumfalną propagandą wśród obcych, a bogatym, pełnym treści sprawozdaniem dziesięcioletniego trudu — wśród swoich.

Dziś, po zamknięciu Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, musimy sobie zdać sprawę, musimy zapamiętać, że Wystawa ta — wielki i mądry wysiłek społeczeństwa — jest naszym ogromnym dorobkiem, a rezultaty jej dać nam powinny wiarę w przyszłość i otuchę do wytężonej pracy.

Akt zamknięcia P. W. K. odbył się z wielką uroczystością, w obecności przedstawicieli rządu, władz miejskich Poznania i zarządu Wystawy. Przemawiali pp.: prezes Zarządu Wystawy dr. Wachowiak, prezes Rady Głównej, prezydent miasta Poznania Ratajski, komisarz rządowy P. W. K., minister dr. Bertoni, minister przemysłu i handlu inż. Kwiatkowski i premier Światalski.

Trzy główne cele wytknęli sobie organizatorzy Wystawy: danie społeczeństwu realnego obrazu i sprawdzianu z dorobku 10 lat samoistności państwowej, propagandę osiągniętych rezultatów w kraju i zagranicą, oraz stopienie wartości kulturalnej i gospodarczej trzech dawniej rozerwanych dziedzin w jedną całość.

I oto wspaniały całokształt Wystawy stał się wymownym, realnym dowodem, że Polska posiada podstawy i siły do rozwoju rolnictwa i produkcji przemysłowej, a potrzeby jej wewnętrznego rynku są naczelnym, decydującym zagadnieniem tego rozwoju. Propaganda i powodzenie Wystawy w kraju i zagranicą dowiodły wymownie, że nie zaborczość i nienawiść, lecz miłość własnego kraju, i oparta na własnym rozwoju kulturalnym chęć pokojowej współpracy z sąsiadami są celem naszego samodzielnego istnienia. Wreszcie, zgodny udział wszystkich dziedzin wykazał wspólną ich dążność w pracy nad rozwojem i bogactwem całego kraju.

Rezultaty te osiągnięto w dodatku w rekordowym tempie czasu i kosztów. Wystawa była gotowa w dniu, naznaczonym na jej otwarcie, pomimo, że

czas, wciągu którego ją przygotowano, wynosił **jedną czwartą** zużywanego zwykle na tak wielkie przedsięwzięcia, P. W. K. była bowiem jednym z największych, jakie od początku bieżącego stulecia zorganizowano w całym świecie. Nie było też dotąd organizacji tej miary, urządzonej tak stosunkowo skromnymi środkami finansowymi i **zamkniętej bez deficytu**.

Wystawę zwiedziło **4 i pół miliona osób**, w tem **330.000 młodzieży** i pół miliona ludności wiejskiej. Wycieczek zagranicznych było 180, nadto odbyło się w czasie trwania Wystawy 120 kongresów, z nich 40% międzynarodowych.

Obok licznych, wybitnych mężów stanu, uczonych i przemysłowców europejskich i amerykańskich, zwiedziło Wystawę 338 zagranicznych dziennikarzy, w prasie zagranicznej ukazało się o P. W. K. 69 tysięcy artykułów, z których większość zawierała entuzjastyczne pochwały. Prasa krajowa przepelniona była artykułami o Wystawie na długo przed jej otwarciem i w czasie całego jej trwania.

Ten imponujący obraz wielkiego wysiłku i rezultatu Wystawy roztoczyli w swych przemówieniach jej organizatorzy i kierownicy.

Ostatni zabrał głos prezes ministrów — p. Światalski. W przemowie swej zaznaczył, że zagadnienia gospodarcze, które do niedawna jeszcze były w Polsce jedynie tematem sporów politycznych i tłem antagonizmów klasowych, są dziś wielką i pilną sprawą całego społeczeństwa. Miliony obywateli, zwiedzających P. W. K., wychodziły z niej z uczuciem radości i dumy, bez względu na to, do jakiej klasy społecznej każdy ze zwiedzających należał i jakiego fachu, przemysłu, czy produkcji był przedstawicielem i z jakiej dziedziny pochodził.

Ta podkreślona w przemówieniu p. prezesa ministrów łączność, to, wspólne milionom uczucie słusznego zadowolenia z dokonanego dzieła, uczucie narodowej siły — stanowi ogromny dorobek moralny, niemniejszy od materialnych rezultatów.

Lista nagród, przyznanych przez Jury Wystawy, obejmuje 322 medale złote, 487 srebrnych, 225 brązowych, 181 listów pochwalnych, 394 dyplomy zasługi i 305 dyplomów uznania. Drugi kompleks nagród, w liczbie przeszło tysiąca, przyznany został wystawcom przez rząd.

N. J.



## Kobieta w świecie i w domu

### ODZNACZENIE POLKI ZE SFER DYPLOMATYCZNYCH.

Posel bułgarski, p. Robef, wręczył p. ministrowej Zaleskiej Bułgarski Krzyż Zasługi Cywilnej pierwszej klasy. Odznaczenie to otrzymała p. Zaleska w uznaniu zasług, położonych przy niesieniu pomocy ofiarom ostatniego trzęsienia ziemi w Bułgarii.

### DWA STYPENDJA DLA AKADEMICZEK.

Międzynarodowa Federacja Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem ogłosiła na rok akademicki 1950/51 dwa stypendja — 1500 dolarów — na studia naukowe zagranicą, ofiarowane przez Amerykę, i 250 funtów szterlingów na roczne studia w zakresie biologii, fizyki, lub matematyki — stypendjum Federacji dla najmłodszych członkiń, które nie ukończyły 30 lat życia.

Podania o te stypendja członkinie polki składać winny do sekretarki polskiego Stow. Kob. z uniwersyt. wykształceniem, w Warszawie (Klonowa 14), do dnia 1 grudnia r. b. Tamże udzielane są wszelkie potrzebne informacje.

Zaznaczyć należy, że już w r. ubiegłym ze stypendjów Federacji korzystały dwie polki.

### PIERWSZY WYŁOM — KIEDY PÓJDA DALSZE?

P. Wanda Grabińska, pełniąca dotychczas obowiązki sędziego Sądu dla nieletnich w Warszawie, została mianowana sędzią grodzkim w Warszawie. Jest to pierwsza nominacja kobiety na pełne stanowisko sędziego w Polsce.

### Z RODZINY WOJSKOWEJ.

Stow. Rodziny Wojskowej zorganizowało dla dzieci swych członkiń lekcje gimnastyki rytmicznej; odbywają się one popołudniu, w kasynie oficerskim w Alei Szucha i na Żoliborzu.

### PAMIĘTAJMY O JEDWABNICTWIE — ŹRÓDLE BOGACTWA DLA PRZEMYSŁU KRAJOWEGO.

Ubiegła surowa zima, niszcząc olbrzymią liczbę drzew owocowych, a zaledwie nieznaczny procent morw, wykazała niezbicie, że drzewo morwowe znosi doskonale najostrzejsze zimy w naszym klimacie, a cierpi od mrozu jedynie na gruntach zbyt wilgotnych, do hodowli morwy nieodpowiednich.

Pomimo spóźnionej wiosny, tegoroczny przyrost młodych pędów morwowych był wyjątkowo bujny (do 2 metrów długości), a hodowle jedwabników dały plon niezwykle pomysłny, i co do ilości, i co do jakości oprzędów.

Nie ulega więc wątpliwości, że morwa zasługuje na jak najszersze u nas rozpowszechnienie. Należy zatem wykorzystać obecny sezon jesienny i przystąpić do zadrzewienia morwą wszelkich nieużytków, pastwisk i dróg publicznych; grodzic żywopłotami morwowymi obejścia, kolonie i granice pól i osiedli. W braku drzewek, których nasze zakłady ogrodnicze jeszcze nie dostarczają, a sprowadzać ich z zagranicy nie chcemy, należy sadzić jaknajwiększą ilość krzewów, które dostarczają rychłej pokarmu dla jedwabników, a których produkcja u nas jest już dość znaczna. Zamawiać je można w dowolnych ilościach, zarówno na stacji jedwabniczej w Milanówku, jak w innych szkołkach krajowych.

### POŁĄCZONE KOBIETY WSZYSTKICH KRAJÓW TWORZĄ POTEŻNE MOCARSTWO.

Jednym z ważniejszych wydarzeń na terenie współpracy międzynarodowej stał się Kongres Federacji Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem, odbyty w Genewie w sierpniu.

Był to piąty z kolei zjazd tej organizacji, która zdobyła sobie, po kilkoletniej zaledwie działalności, poważne stanowisko międzynarodowe, pozostając w stałej współpracy z Ligą Narodów, Międzynarodowym biurem pracy, oraz z Instytutem współpracy intelektualnej.

W Federacji biorą dotychczas udział kobiety z 35 krajów całego świata, z których 35 reprezentowane były na zjeździe. Oficjalna delegacja polskiego Tow. Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem składała się z pań: dr. dr. Jadwigi Biernackiej, Jadwigi Lechickiej, Eugenji Stołyhwowej i Stefanji Tatarówny.

Program obrad obejmował duży kompleks spraw. Podzielono je jednak, w myśl doskonałej organizacji pracy, na szereg grup, w których specjalistki wypowiadały referaty i prowadziły dyskusje. Można śmiało powiedzieć, że Federacja Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem stara się objąć najważniejsze zadania życia współczesnego z zakresu szkolnictwa, zdrowia publicznego, praw kobiet, a przede wszystkim współpracy intelektualnej wszystkich uczywilizowanych narodów.

W grupie pedagogiki i wykształcenia obradowano więc na temat wykształcenia kobiet w szkołach średnich i wyższych, nad pomocą dla żeńskiej młodzieży akademickiej, oraz nad uprzywilejowaniem kobietom placówek naukowych i katedr uniwersyteckich. Ciekawy referat wygłosiła dr. Meylan z Lozanny, wykazując, że kobiety szwajcarskie, poświęcające się zawodom naukowym, walczą z wielkimi trudnościami, nie mogąc dotychczas uzyskać w swoim kraju należnego im miejsca. Prof. dr. Evard dała bardzo ciekawe szczegóły o nowych doświadczeniach w szkolnictwie średnim, opartych na metodach psychologii porównawczej obu płci i zastosowaniu wyników tych badań do kształcenia dziewcząt w duchu przygotowania do ich podwójnej roli: matek oraz pracownic zawodowych i społecznych.

Federacja posiada specjalny fundusz stypendjalny, przeznaczony na pogłębienie pracy naukowej swych członkiń, podróże naukowe i krajoznawcze. Ze stypendjów tych korzystają mogą członkinie wszystkich oddziałów Federacji, między innymi otrzymały je już dwie polki.

W szkolnictwie średnim Federacja kładzie duży nacisk na intelektualną współpracę międzynarodową i wyrobienie uczuć braterstwa narodów w młodzieży; w tym celu Federacja organizuje wymianę nauczycielek między poszczególnymi narodami, jak w roku ubiegłym między Anglią, Niemcami i Stanami Zjednoczonymi. O wynikach tej współpracy referowała dr. Werder, nauczycielka gimnazjum dla dziewcząt w Zurichu. Komisja szkolnictwa średniego wypowiedziała się bezwzględnie za jednolitością szkoły średniej dla dziewcząt i chłopców.

W grupie lekarskiej naczelnie miejsce dano zagadnieniu walki z gruźlicą. Wygłosiły tu referaty: dr. Olivier — o roli kobiet w walce z gruźlicą w Szwajcarii, dr. Gourfein Weit — o terapeutyce pracy w kuracji gruźlików, i dr. Vauthier — o sanatorium dla gruźlików w Leysin.

W grupie prawodawczej ożywioną dyskusję wywołał temat obywatelstwa kobiet zamężnych. Jest to wogóle od dłuższego już czasu gorąca sprawa sporna na terenie międzynarodowym. Podjęły ją pierwsze angielski, których znaczna liczba, wychodząc z zamąż w kolonjach i różnych innych zakątkach świata, traci obywatelstwo ojczyste i opiekę potężnej władzy angielskiej, zamieniając ją na obywatelstwo egzotycznych, półdzikich nieraz państweczek, niemogących zapewnić swym członkom należytych praw i obrony. Ale sprawa ta ważną jest nie tylko z tej racji. Pełne równouprawnienie kobiety wymaga

dla niej możliwości zachowania swego obywatelstwa, nawet w wypadku małżeństwa z cudzoziemcem. Mężczyzna, bowiem, zaślubiający cudzoziemkę, praw swych narodowych nie traci. To jest zasada teoretyczna, a i praktyczne względy, nietylko w krajach egzotycznych, ale i w europejskich, przemawiają za pozostawieniem kobiecie możliwości zachowania swego obywatelstwa.

Kongres uchwalił w tym duchu rezolucję, która zostanie przedstawiona na międzynarodowej konferencji kodyfikacji prawa międzynarodowego w Hadze.

Kongres poświęcił też znaczną część swych obrad zagadnieniom społecznym; pani dr. Szwarz-Gagg wygłosiła referat o obowiązkach i stosunku kobiet z inteligencji do robotnic, zaznaczając, że prace naukowe kobiet winny mieć zawsze na celu idee i obowiązki humanitarne; p. Fuss, członek Międzynarodowego Biura Pracy, zdał sprawozdanie ze stanu bezrobocia inteligencji, stwierdzając, że w zasadzie sprawa bezrobotnych umysłowych nie różni się niczem od bezrobotnych pracowników fizycznych, wymagając tych samych środków zaradczych, a przedewszystkiem starań o wyrobienie większego popytu na pracę umysłową i zjednoczenia w solidarnej akcji z pracownikami fizycznymi.

Oprócz obrad grup i komisyj, odbyło się podczas kongresu wielkie zebranie publiczne w auli uniwersytetu, na którym przemawiali: rektor dr. Werner i radca stanu Martin Naef, jako przedstawiciel rządu, oraz p. Ballonsat, jako przedstawiciel władz miejskich. Odczytano również depeşe od najwybitniejszych przedstawicieli państw, jak Mac Donald, Miss Bonfield (angielski minister pracy), i szeregu osób ze świata naukowego.

Czas, wolny od obrad, poświęcono wycieczkom i zwiedzaniu różnych zakładów i instytucyj. Do najpiękniejszych, pozostawiających niezatarte wrażenie, należało zwiedzenie zamku Chillon, gdzie urządzone było dla członkiń zjazdu przyjęcie oficjalne, i do uroczego, nad jeziorem również położonego Coppet, gdzie w pałacyku, w którym zamieszkiwała pani de Stael, podejmowali goście zjazdowych potomkowie wielkiej pisarki. Władze rządowe i miejskie wydały wielkie przyjęcie w pięknym parku przy Muzeum Ariana.

Z wizyt w instytucjach międzynarodowych najważniejsze było przyjęcie w Lidze Narodów, podczas którego sekretarz generalny Ligi — sir Eric Drummond — wygłosił mowę powitalną, zaznaczając, że Liga pokłada wielkie nadzieje we współpracy kobiet nad utrzymaniem pokoju.

Zwiedzono również Międzynarodowe Biuro Pracy, w którym przyjmował gości zjazdowych szef sekcji dyplomatycznej — p. Albert Thomas, wystawę „Ere Nouvelle”, sanatorium uniwersyteckie w Leysin, oraz liczne muzea, obserwatorja, kliniki i szkoły.

Wycieczki i zebrania towarzyskie wytworzyły wspólny, nadzwyczaj kulturalny i serdeczny poziom stosunków wzajemnych, w których odczuwało się wybitną łączność i zblżenie między kobietami tylu różnych narodowości i różnego wieku. Starsze pionierki wyższego wykształcenia i pracy naukowej i społecznej kobiet oraz młodzieńtki adeptki wiedzy tworzyły jakby jedną rodzinę, zebraną dla omówienia ważnych i pilnych zagadnień — jak zdobyć najwięcej wiedzy i jak najlepiej zastosować zdobytą dla pożytku jednostek, narodów i ogółu ludzkości.

Objawem nadzwyczaj ważnym, nietylko dla sprawy kobiecej, ale dla największych zagadnień współczesnego humanitaryzmu, jest też fakt, że instytucje międzynarodowe kobiece zyskały ogromne znaczenie w zakresie stosunków międzynarodowych. Liczą się z nimi ekspozytury wszystkich mocarstw, zarówno w Hadze, jak w Genewie, wybitnym tego dowodem były przyjęcia, zorganizowane dla kongresu Federacji przez rząd szwajcarski i władze Ligi Narodów.

## DLACZEGO NIEMA POLEK W LIDZE NARODÓW?

W liczbie delegatów, wysłanych przez wszystkie państwa na tegoroczne, dziesiąte z kolei, Zgromadzenie Ligi Narodów, znajduje się **piętnaście kobiet**. Tylko Litwa jednakże wysłała kobietę — p. Zofję Czurlanis — w charakterze delegatki pełnomocnej. Wysłanniczka Holandji, sekretarka holenderskiego ministerstwa spraw zagranicznych — p. Kluwyer — jest sekretarką delegacji swego państwa; tę samą funkcję sekretarki delegacji powierzył swej obywatelce p. Pantip Devakul Sjam; radcą technicznym jest w delegacji niemieckiej posłanka parlamentu p. Lang-Bruman; pozostałe państwa mianowały kobiety jedynie jako członków-zastępców swych delegacyj. Z Anglii przybyły: Mrs. Swanwick, prezeska angielskiego oddziału Ligi Kobiet pokoju i wolności, oraz posłanka Mrs. Mary Hamilton; z Australji — dr. Roberta Jull; z Danji — prezeska duńskiej Rady Narodowej Kobiet, panna Henry Forhammer; z Finlandji — p. Tilma Hainari; z Kanady — posłanka, Mac Phail; z Norwegji — doktorka Aas; z Nowej Zelandji — prof. Miss Phoebe Myers; z Rumunji — literatka p. Helena Vacaresco i przewodnicząca rumuńskiej Rady Narodowej Kobiet, księżna Aleksandryna Kantakuzen; z Węgier — przewodnicząca Węgierskiej Rady Narodowej Kobiet, hr. Apponyi.

Każda z delegatek znana jest chlubnie w swym kraju z działalności społecznej i politycznej, a niektóre z nich, jak ks. Kantakuzen, zdobyły sobie szeroki i chlubny rozgłos na terenie międzynarodowym. Z racji licznych w tym roku kongresów, odbywanych w Genewie, zarówno jak i zebrania Ligi Narodów, Międzynarodowa Liga Praw Wyborczych i Międzynarodowa Rada Kobiet utworzyły w Genewie czasowe sekretarjaty, dla dostarczenia działaczkom poszczególnych krajów punktu zbornego wzajemnych konferencyj, zebrań i porozumienia. Spotkały się też na tym terenie wszystkie kobiety wybitne, znane i więcej: posiadające już wpływy i znaczenie w Lidze Narodów, jak przewodnicząca Ligi Praw Wyborczych p. Corbett Ashby, posłanka lady Astor, wiceprzewodnicząca Międzynarodowej Rady Kobiet p. Ogilvie Gordon, znana działaczka czeska p. Planiminkowa i wiele innych.

Na szeregu zebrań i bankietów obradowano, dyskutowano gorąco, wymieniano rezultaty prac dokonanych i plany przyszłych, i śmiało powiedzieć można, że w tem zgromadzeniu przedstawicielka działalności kobiet życie było tętnem pełniejszym i... szlachetniejszym, a napewno owocniejszym w realne rezultaty, niż w gmachu oficjalnego porozumienia polityków Ligi Narodów.

Rozważając te fakty, nie można jednak powstrzymać się od bardzo smutnego i ważkiego zapytania: dlaczego w liczbie delegatek nie było wysłanniczki Polski? Przecież nawet kraje, które, jak Rumunja, nie dały kobietom dotychczas politycznego równouprawnienia, uważały za celowe umieścić kobiety w swych delegacjach. Brak polki na liście delegatek robi wrażenie, jakby nie było u nas działaczek, mających coś do powiedzenia na forum Ligi. Każdy, kto zna nasz ruch kobiecy i ogólną działalność obywatelską kobiet polskich, wie dobrze, że tak nie jest. Niemniej jednak ten fakt wywiera b niekorzystne wrażenie, zarówno w kraju, jak zagranicą. Wpływ na terenie międzynarodowym jest dziś dla kobiet sprawą pierwszorzędnej wagi i nie wolno go nam zaniedbywać, to też nasze organizacje kobiece działaczki i posłanki muszą upomnieć się u sfer miarodajnych o należne im na tym terenie miejsce.

## Słuchajcie, panienki...

*Gdzie Warta modra toczy swe wody,  
Słyną dziewczęta z cudnej urody...*

*Kto chce im sprostać — rada życziwa — 204  
Niech kremu „MIAFLOR” ŻAKA używał...*

## REORGANIZUJMY NASZE OGNISKA DOMOWE

Kiedy się widzi przemęczoną, nigdy nie mającą wolnej chwili, nad siły objuczoną pracą zmuśną, szarą, codzienną, nieustanną, której nigdy nie wiadać i która nigdy się nie kończy — tak zwaną panią domu (to chyba ironja, bo raczej — niewolnicę domu?), stajemy przed pytaniem, czy dom ten jest dobrze zorganizowany, czy praca, w nim wykonywana, rozłożona jest w stosunku do czasu i ciężaru proporcjonalnie, czy też spada całym ciężarem na jedną osobę, upersonifikowaną w — pani domu. Rozjrzyjmy się nieco w warunkach.

Rodzina jest duża. Czwooro dzieci, jedna służąca, pan na urzędzie pracuje w biurze, zarabia skromnie. Dzieci są w wieku od lat siedmiu do osiemnastu.

Służąca, płatna lichy, jest, jak to mówią, nieodpowiedzialna, nie umie gotować; gotuje pani, dziewczyna tylko pomaga, obiera, jest na posyłki; ważniejsze artykuły trzeba kupić samej, będzie lepiej i pewniej; ani się nie „przeplaci“, ani nie weźmie nieświeżych artykułów (dla swoich gości sklepy posiadają świeższe, dla obcych — gorsze); o ile więc można, należy kupować stale w jednym sklepie.

Po uprzątnięciu domu i wydaniu obiadu (co zajmuje pół dnia czasu), „pani“ pomaga, względnie pilnuje, aby młodzież odrobiła lekcje, co gdy się stanie, starsze dzieci wybiegają na miasto „rozerwać się“, pan domu wymyka się na czarną kawkę czy do klubu, bo przecie po pracy należy mu się odpoczynek; z najmłodszym dzieckiem ktoś musi zostać w domu, Kasia właśnie musi „wylecieć“ na moment w ważnej sprawie, lub „przelecieć“ do sklepiku, co trwa niedługo (ze dwie godzinki), bo właśnie naprzeciwko stało się nieszczęście: coś komuś trzasło, zgięło, przybyło — jednym słowem Kasia czuje zupełnie zrozumiałą chęć odświeżenia się, choćby cudzą kłeską, bo to takie inne i ciekawe.

A pani domu? Ona właśnie zostaje w domu! Julci sukienka się rozdarła, Stasiowi uszyć trzeba nową koszulę, załatać mężowi to, o czym się nie mówi i najstarszemu; gdy śpieszy rano do szkoły, szarpnie koszulę i już dziura, łata, a że ich jest czterech — cztery razy po łacie i dziurze — matematyka prosta.

Pozatem sobie trzeba uszyć domową sukienkę, szlafrok, załatać całkiem podartą koszulę; gdy jest duże pranie, trzeba samej prasować, bo Kasia nie ma czasu, a praczki na wykończanie się nie bierze. A gdy jest „przepirka“, też trzeba samej wykończyć, bo bielizny niewiele, przepirki są dwa razy w miesiącu; właściwie mówiąc, nie kończą się wcale, tak, jak nie kończy się łańcuch mozołów od rana do świtu.

Osobna rubryka — to cerowanie pończoch: sprawa wieczna, jak następujące po sobie dzień i noc. Są tego całe stosy, gromada nieublagana i groźna, co zjadła już niejedne oczy, wyłzawione nad ich cerowaniem, zatrula niejedną młodość, zesmuciła niejedno życie kobiece.

Przychodzi niedziela, będą goście. Nie można żyć bez ludzi. A że Kasia ma wychodne, bo przecie musi wypocząć po pracy, więc poza obiadem kolację ugotuje pani. Boć to przecie niedziela. Dzieci i pan domu pójda do kina lub z wizytką, pani domu nie może: po całodziennym harówce, doprawdy, zbyt jest zmęczona, aby jej się chciało przebrać i wyruszyć, z niedużym zresztą dzieckiem. Zostaje więc, szczęśliwa, że z powodu niedzieli odpada — cerowanie pończoch, bo to grzech — w święto!

Tak przedstawia się dzień po dniu, rok po roku, matki liczniejszej rodziny. Tej kobiety, o której się mawia, że „siedzi“ w domu i właściwie nic robi.

Czy takie życie jest słuszne? Czy nie jest nadużyciem z jednej, brakiem obrony z drugiej strony? Czy ta kobieta nie ma żadnych potrzeb? Czy blacha kuchenna, igła i żelazko do prasowania wypełniają jej życie? Nie! Ona to robi z nadmiaru miłości, poświęca się, lub też z nadmiaru niedołęstwa pozwala się wyzyskiwać. Robotnica, służąca, sklepowa — są stokroć od niej wolniejsze: mają własne godziny, należące wyłącznie do nich, mogą sobie pozwolić na skromną, do gustu dostosowaną, rozrywkę, na małe lenistwo w postaci przespanej godzinki, czy przeczytanej ciekawej książki; biorą udział w życiu, na przechadzce, wizycie, w kinie, są samym nurtem życia, podczas gdy te, siedzące w domu, są jak kamienne łóżysko, o które wszystko się rozpryskuje, bo one od swego warsztatu ruszyć się nie mogą.

A możeby mogły?

Jak — zapytacie — któż za nie wykona pracę, niezbędną w rodzinie?... Rozbić rodzinę?...

Tak być musi — powiecie — taka jest dola kobiety; gdyby ta żona umarła, mężczyzna musiałby pojąć drugą, bo ktoś musi zająć się domem i dziećmi.

Zająć się, to nie znaczy: wszystko obrobić samej. Złe czyni ta matka, która spełnia pracę ponad siły, bo praca ta, rozłożona na poszczególnych członków rodziny, nie zaciężyłaby im; zwalona na jedną osobę, przygniata ją swoim ciężarem, czyni z niej juczne zwierzę, odbiera radość życia, jaką jest zasłużona rozrywka i wypoczynek; nie pozwala jej być normalnym człowiekiem, normalnym członkiem społeczeństwa, biorącym udział w pracach społecznych; nie daje korzystać z przyznanych jej równości obowiązków i praw, bo taka kobieta zna tylko obowiązki.

Błądzi bardzo ta matka, która nie nauczy swych synów i córek szyć, prać, sprzątać i innych drobnych zajęć domowych.

Rano np., przed pójściem do szkoły, każde dziecko może posłać swoje łóżko i sprzątnąć po sobie; tym sposobem sprzątanie mieszkania będzie już niezmiernie ułatwione. To samo da się powiedzieć o przyrządzeniu herbaty, nakryciu do stołu, oczyszczeniu obuwia i ubrania.

Z tem wszystkiem dzieci nasze oglądają się na matkę, albo na służącą. Poprosto, nie wyobrażają sobie, jak można żądać od nich, gdy chodzą do szkoły, tego rodzaju posług przy nich samych. Tymczasem oczyszczenie sobie palta, bucików i posłanie łóżka wymaga dziesięciu minut, nagromadzone zaś z kilku domowników — zajmuje godziny.

Szczególnie chłopcy oburzeni bywają takimi rozporządzeniami. Matki, wychowujące swych synów z podkreśleniem jakiejś specjalnej ich wyższości i nietolerancji wobec kobiety, czynią źle! Mogło to istnieć w czasach, gdy mężczyzna i kobieta mieli swoje ściśle określone pola działania: ona jedynie w domu, on wyłącznie po za domem. Dziś wszystko się zmieniło. Kobieta wszędzie staje obok mężczyzny, mężczyzna niejednokrotnie zastępuje w zajęciach domowych kobietę.

Matka, nieprzyuczająca syna do drobnych prac domowych, utrudnia mu życie, bo żona jego może zażądać pomocy, lub odmówi posług, zgoła nieliczących z duchem czasu.

Gdy rodzina wieczorem zgromadzi się przy stole, jakże jest słusznem i mądrzem, aby każdy cerował przez siebie podartą pończochę, bez względu na płeć i wiek. Tym sposobem wytworzy się harmonijne poszanowanie każdej pracy, nikt nie będzie czuł żalu do nikogo za nadużycie jego dobroci; w dzieciach wyrobi się poczucie samowystarczalności, w dzisiejszej kulturze i warunkach konieczne, a pani domu — dotychczasowa ofiara — odetchnie, znajdzie czas na przeczytanie książki, pójście do teatru, może nawet na jaką, choćby skromną narazie działalność społeczną. A jeśli nawet członkowie rodziny są tak przeciążeni pracą zawodową, czy zajęciami szkolnemi, że na cerowanie np. nie mogą znaleźć ani chwili czasu, toć dokoła tyle biedy na świecie!

Za obiad i złotówkę czy dwie dziennie można dostać kobietę ubogą, którą ta nieciężka praca uratuje z krańcowej nędzy; znajdują się napewno takie osoby, co, chodząc po domach, robotę tę przyjmą z wdzięcznością. Są już zresztą w Warszawie i specjalne warsztaty, zajmujące się wyłącznie cerowaniem i łataniem.

Zasadą jednak być powinno, aby każdy członek rodziny wszelkie reperacje koło siebie wykonywał sam.

Wolne od tego są tylko małe dzieci, lub niedołążni starcy.

I po pracy umysłowej, i po wysiłku fizycznym spędzenie godziny nad jakąś robotką, czy reperacją — to tylko wypoczynek.

Mar-Mor.

*Jak wszędzie, tak i w Polsce  
angielska herbata Lyons'a  
staje się niezastąpioną*

**HERBATA LYONS'a**

**DO NABYCIA**

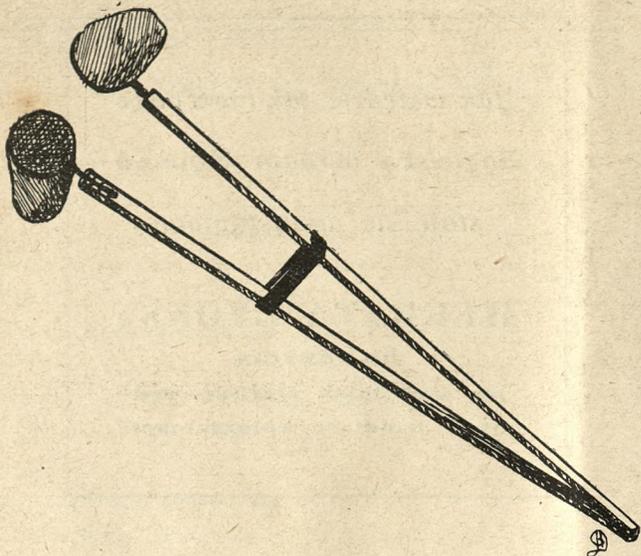
**we wszystkich pierwszorzęd-  
nych handlach kolonialnych**

215

## ZBIERANIE I PRZECHOWYWANIE OWOCÓW

Trudno jest oznaczyć z góry właściwy czas zbierania owocu zimowego, gdyż zależy on od gatunku danego owocu, gleby, na której rośnie, warunków atmosferycznych i t. p. Zbierając wcześniejszy owoc letni i jesienny, kierujemy się przeważnie znakami, które nam poszczególne drzewa dają; i tak: gdy spadnie jakie jabłko na ziemię i okaże się, że jest już dojrzałe, jest to najlepszy wskaźnik, aby i resztę już zebrać. Owoce zimowe, dojrzewające dopiero w styczniu, lutym czy marcu w piwnicy, znaków powyższych dawać nam nie mogą, przeciwnie, nieraz tak mocno się jeszcze drzewa trzymają, że siłą je od niego odrywać trzeba. Te zbieramy przeważnie w polowie października.

Nie należy nigdy, pod żadnym warunkiem owocu trząść; jest to może bardzo uproszczony sposób zbiórki i dużo szybszy, w następstwach jednak fatalny. Obite o ziemię jabłko czy gruszka na razie pozostaje bez zmian widocznych, po pewnym jednak czasie dostaje ciemnych plam i zbolęłe miejsca psuć się, czyli gnąć zaczynają, przeważnie nim jeszcze owoc dojrzeć zdąży. Może jest to już przesada, lecz niektórzy utrzymują, że przy zrywaniu nawet samymi palcami brać owocu nie wolno, a tylko całą dłonią, gdyż czubki palców łapią dużo silniej, pozostawiając odgniotki. Do zbierania owocu, rosnącego wyżej, używamy drabin niższych lub wyższych, które muszą być tak skonstruowane, aby je nie trzeba było opierać o drzewo, gdyż o złamanie gałęzi w tym wypadku nietrudno. Każdy zbierający musi być zapatrzony w niewielki koszyk z hakiem, który zawieszają na drabinie lub grubszej gałęzi, mając obydwie ręce wolne do rwania, a rwać powinien tak, żeby cały ogonek nieuszkodzony odjęty był od drzewa i pozostawiony przy owocu. Trafia się nieraz przy drzewach wysokopiennych, że niektóre jabłka wiszą



Szczypce do zrywanie wysoko zamieszonego owocu.

tak wysoko, że nawet z drabiny dostać je trudno. W tym wypadku zrezygnować musimy z zupełnie prawidłowego rwania i staramy się dostać owoc przy pomocy specjalnie do tego przygotowanych szczypcy z woreczkami, aby uchronić go od upadku. Gdy podręczne koszyczki zapelnione, przekładamy owoc do większych koszów, a lepiej jeszcze, o ile kto posiada tyle wolnego miejsca, lub specjalnie na ten cel przygotowane przewiewne szopy, składamy go na duże kopy, gdzie chroniony od deszczu, pozostawiony na działanie wiatru, parę dni przeleżeć powinien, nim go do piwnicy złożymy.

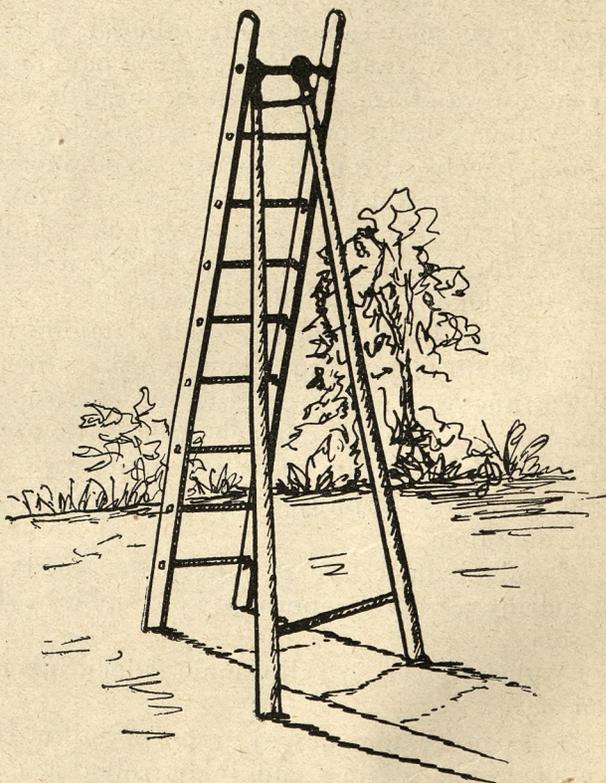
Znam kilkanaście, może więcej nawet, piwnic na owoce, mało jednak w tej liczbie odpowiadających swemu celowi. Są to przeważnie miejsca duszne, zatęchłe, które nigdy nie mogą gwarantować, że owoc w nich przechowany, o ile wogóle do wiosny przetrzyma, będzie smaczny.

Jabłka, a jeszcze więcej gruszki, nadzwyczajnie łatwo przechodzą zapachem swego otoczenia i jeśli ono nie jest czyste, smak takiego owocu zmienia się do tego stopnia, że na długi czas obrzydzić może jego spożywanie. Bardzo też szkodliwym jest kładzenie owocu na słomę, bo ta posiada własność wchłaniania w siebie zbytnej wilgoci i bezpośrednio oddziałuje na niego.

Najodpowiedniejsze są piwnice, których ściany częściowo tylko ukryte są pod ziemią, większa zaś część wznosi się nad ziemię. Tu ustawiamy półki, tak wysoko jedna nad drugą, aby swobodnie można było sięgnąć ręką do najdalej położonego jabłka. O ile półki te zrobione są w kształcie wysuwanych szuflad, mogą być dużo gęściej umieszczone. Okna powinny być umieszczone tak, żeby był łatwy do nich dostęp, który umożliwi częste wietrzenie piwnicy. Półki najlepiej wyłożyć czystą, grubą bibułą lub posypać warstwą trocin. Przy kładzeniu jabłek uważać, aby je kłaść ogonkiem do góry, to jest w takiej

pozycji, w jakiej się na drzewie znajdowały. Dopóki temperatura utrzymuje się wyżej 0°, a nawet przy lekkich przymrozkach, można okna zostawiać stale otwarte; gdy się robi zimniej, na noc lepiej zamykać, wietrząc tylko w godzinach południowych. Z chwilą nastania większych mrozów, zamykamy okna już na stałe, a piwnicę całą okładamy warstwą suchych liści lub słomy. W ciemności owoce lepiej się trzymają. Dobrze jest też, na jednej z półek umieścić termometr, aby kontrolować stale temperaturę. O ile zejdzie niżej 0°, trzeba pomyśleć o uchronieniu owocu od zamarznięcia: kto posiada zapas worków, okryć może owoc, ale przy większych mrozach nie jest to dostateczne zabezpieczenie. Różnego rodzaju używają ludzie piecyków, ja uważam za praktyczny i sama go stosuję, następujący: ustawiam parę cegieł na płask jedną na drugą, w pewnym zaś oddaleniu robię drugą, tej samej wysokości i tak samo ustawioną wieżę, teraz przykrywam obydwie blachą, a pod nią stawiam małą naftową lampkę, naturalnie taką, która pali się równo, nie śwędzi, ani kopci. Jest to piecyk bardzo oszczędny i zupełnie wystarczający, a szkodliwego wpływu naftę na owoce dotąd nie zauważyłam. Rozgrzana blacha nad lampką osusza bardzo powietrze, dobrze jest więc postawić na niej miseczkę z wodą, która parując, dostarczy zupełnie dostatecznie wilgoci. Suche piwnice dla owocu dobre nie są, nie ulega on łatwemu psuciu, ale naskórek marszczy się i brzydko wygląda.

Przynajmniej raz na tydzień trzeba wszystkie półki przejrzeć i usunąć nadpsute sztuki, bo zarazek



Drabina do zdejmowania owocu.

gnicia szerzy się bardzo łatwo i jest nieraz przyczyną poważniejszych strat.

Piwnica przeznaczona do przechowywania owoców, nie powinna być używaną do niczego więcej. Z chwilą zabrania z niej reszty jabłek, należy ją dokładnie oczyścić, papiery stare spalić, a okna na całe lato pozostawić otwarte. Niektórzy ogrodnicy doradzają po skończonem lecie, na krótko przed wniesieniem owocu do piwnicy, wypalić ją siarką. to jest wykadzić siarkowym dymem, dla zniszczenia znajdujących się tam zarazków gnilnych. Próbowałam to raz robić, ale nie uważam, żeby owoce trzymały się wtedy lepiej, jak w latach poprzednich. Stałe utrzymywanie piwnicy w czystości i dozór umiejętnego zdejmowania owocu z drzew — to najlepsza gwarancja jego trwałości, dobroci i ładnego wyglądu.

A. D.



## POKARMY Z LAKTOZĄ W DIECIE NA NADKWAŚNOŚĆ ŻOŁĄDKA

Chorzy na chroniczne katary żołądka, nadkwaśność (kwasowy nieżyt żołądka), są zazwyczaj wychudzeni i trzeba im dawać potrawy posilne, dające dużo ciepłostek, a jednocześnie lekko strawne. Aby zwiększyć ilość ciepłostek, zawartych w potrawach, nie zmieniając ich smaku, dodać możemy cukru mlecznego, czyli laktozy, którą się kupuje w aptece.

Do kawy białej, kakao, napoju jajecznego dodawać można laktozę w proporcji 3 łyżeczek płaskich, zamiast jednej łyżeczki płaskiej cukru zwykłego. Laktoza jest cukrem znacznie mniej słodkim, daje zaś tyleż kaloryj, co cukier zwykły, i dzięki temu możemy jej więcej dodawać do różnych potraw, otrzymując przy niezmiennym smaku tę samą wartość kaloryczną.

**Kakao z laktozą.** Miary podaję strychowane, t. j. trzeba napelnić łyżkę np. mąką, masłem, cukrem etc. i nożem zrównać powierzchnię z krawędzią łyżki, czy też kubka.

Na 2 łyżeczki (od herbaty) kakao wziąć  $2\frac{3}{4}$  łyżki (stołowej) laktozy,  $\frac{1}{2}$ —1 łyżki stołowej cukru zwykłego, zależnie od upodobania pacjenta, 2 łyżki wo-

dy zimnej, 1 szklankę mleka, lub  $\frac{1}{2}$  szklanki śmietanki i  $\frac{1}{2}$  szklanki mleka, 1 żółtko.

Zmieszać i rozrobić kakao w zimnej wodzie, dolewać potrochu mleko i zagotować. Rozbić żółtko z cukrem, wlać powoli gorące kakao, rozbijając trzepaczką, wstawić w rondelku do drugiego rondla z gorącą wodą i potrzymać do chwili podania. W ten sam sposób należy przyrządzać kawę z laktozą.

**Mleczko z laktozą** można przyrządzać czekoladowe, karmelowe lub kawowe; waniljowe nie jest tak smaczne.

Jajka na mleczko nie należy rozbijać zbyt mocno, aby nie wprowadzać powietrza, które, rozszerzając się pod wpływem gorąca w piecyku, robi otworki i wklęsnięcia w upieczonem mleczku. Jaja trzeba jednak dokładnie rozmiarzać z mlekiem, dodając go potrochu, aby białko się rozpuściło, a tłuszcz z żółtka utworzył emulsję i cały płyn stanowił jednolitą żółtą, gęstą ciecz.

**Mleczko na parze z laktozą.** Używać należy rondelka z podwójnym dnem, lub dwóch: jednego większego, drugiego mniejszego. Kolejność pracy jest następująca: 1) Przetgotować mleko i przestudzić. 2) Ubić zlekką jajko z dodaniem cukru zwykłego i laktozy według przepisu. 3) Powoli wlać mleko z kakao, kawą lub cukrem skarmelizowanym, rozbijając trzepaczką. 4) Wlać cały płyn do górnej części specjalnego rondelka, lub do mniejszego rondelka, wstawić go do większego z gotującą się wodą. Postawić na ogniu. Mięsząc mleczko, aż zacznie gęstnieć i oblepiać łyżkę, a pianka z powierzchni zniknie. Natychmiast wyjąć z rondelka z wodą, wstawić do zimnej wody lub do lodówki.

Proporcja dla tego mleczka jest następująca: na 1 szklankę mleka 1 jajko, 4 łyżki stołowe cukru mlecznego, lub 2 łyżki cukru mlecznego i 1 łyżka skarmelizowanego cukru zwykłego. Dodać 2 płaskie łyżki kakao; jeśli ma być kawowe, to ugotować w mleku 1 łyżkę kawy, zawartą w woreczku z gazy.

**Pieczone mleczko z laktozą.** Sposób przyrządzania podany był w poprzednim artykule. Proporcje są następujące:  $\frac{3}{4}$  szklanki mleka, 1 jajko,  $2\frac{2}{3}$  łyżki laktozy. Ilość kawy lub kakao należy wziąć taką samą, jak przy mleczku na parze.

Marja Morzkowska.

## Urywek z poematu...

*Nad jej głową kinkietów rozblęła się tęcza,  
By świetniejszą się zdała jej szata pajęcza,  
By aksamit policzków rozrok nęcił ku sobie...*

— ŻAKA puder „LORAN“ ślicznie cerę zdołbi... 205



### POMIDORY FASZEROWANE NA SUROWO

Pomidory faszerowane na surowo są nie tylko bardzo elegancko wyglądającą i wykwintną w smaku przekąską: są one jeszcze doskonałym daniem surowkowym, bogatym w witaminy.

Dojrzałe lecz jędrne pomidory, jednakowego kształtu i rozmiaru, umyć dokładnie, osuszyć na przetaku lub na miękkim płótnie, pościąć im równo wierzchy, łyżeczką wydrążyć ostrożnie środki, usuwając starannie ziarenka, lecz nie naruszając ścianek. (Wierzchy i środki można użyć na zupę lub sos, w myśl zasady, że w kuchni nic, co da się zużytkować, marnować się nie powinno). Wnętrze pomidorów lekko osolić drobną solą i napełnić którymkolwiek z następujących farszów.

a) Na dwanaście pomidorów usiekać drobniutko sześć kartofli, jeden średni ogórek, jedno kwaśkowe jabłko; sześć łyżek gęstego sosu majonezowego, wymieszać z temi jarzynami (kto lubi, może dodać utartą na tarce hiszpańską cebulę), napełnić tem pomidory, na wierzch położyć po plasterku jajka, ugotowanego na twardo, po pół łyżeczki gęstego majonezowego sosu, po kaparku, postawić na parę godzin przed podaniem na chłodzie. b) Usiekać drobno sześć kartofli, ogórek świeży lub małosolony, jabłko, dwa jaja, ugotowane na twardo, dodać łyżki i wnętrzości z 15—20 raków i tyle sosu majonezowego, aby masa była gęsta. Napełnić tem pomidory, przykryć każdy pomidor łyżeczką gęstego majonezu, na nim ułożyć po rakowej szyjce; trzymać parę godzin przed podaniem na chłodzie. c) Na dwanaście pomidorów pokrajać w drobną kostkę mięso z pół kurczęcia pieczonego lub gotowanego, dodać tyleż (około 15 deka) gotowanej szynki lub ozora również pokrajanego, garstkę zielonego, bardzo młodego groszku (surowego lub ugotowanego), majonezowego sosu tyle, aby wszystkie składniki dobrze połą-

czyć; napełnić tą masą pomidory, przykryć sosem majonezowym, na to położyć po marynowanym grzybku lub rydzyku. Zastudzić dobrze na lodzie przed podaniem.

### GEŚ W GALARECIE

Starszą geś, nienadającą się już na pieczone, można przyrządzić w sposób następujący. Oczyszczoną i nasoloną dobrze wewnątrz i zewnątrz geś przykryć miską lub serwetą i potrzymać tak godzin parę. Potem nastawić ją w takiej ilości wody, aby objęła, dodać włoszczyzny, cebuli, korzeni, mały grzybek suszony i gotować wolno, starannie szumując rosół, aż mięso zupełnie zmięknie i nawet od kości odstanie. Geś wyjąć, napół ostudzić i pokrajać na ładne kawałki, odrzucając grube kości. Smak ostudzić, zdjąć zeń starannie tłuszcz, sklarować białkiem, dodać na każdą szklankę rosółu dwa — trzy listki białej żelatyny. Pokrajaną geś ułożyć na głębokim półmisku lub na salaterce. Ubrać grzybkami, korniszonami, plasterkami cytryny i jaj, gotowanych na twardo. Zalać galaretą i dobrze zastudzić. Do tego podawać sos tatarski lub cumberland.

### KONFITURY Z JABŁEK

Na konfitury należy używać tylko jabłek słodkich — wszelkie jabłka kwaskowe rozgotowują się przy smażeniu. Jabłka obrać, środki z ziarnkami ostrożnie wyciąć, pokrajać w plastry, grube na pół centymetra, natrzeć każdy plaster cytryną, aby nie szerniały. Na kilo jabłek brać należy półtora kilo cukru. Zagotować syrop, biorąc na kilo cukru, dwie szklanki wody. Dla zapachu włożyć kawałek wanilji, lub parę pasków cienko skrajanej, żółtej skórki cytrynowej. Na syrop ten kłaść tyle krążków jabłek, ile się jeden obok drugiego zmieści, i smażyć bardzo wolno, aż się staną zupełnie przezroczyste. Wyjąć durszlakową łyżką na salaterkę. Do syropu dolać parę łyżek zimnej wody, zagotować raz i kłaść następny rząd jabłecznych krążków. Gdy się wszystkie usmażą, złożyć w nieduże słoiki. Do pozostałego syropu włożyć na każde kilo pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Syrop zupełnie wystudzić i zalać nim ułożone w słoikach jabłka. Ładna i smaczna konfitura.

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZY”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZY”, Rymska 8, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

## Zaniedbana strona wychowania.

W szeregu zagadnień, poruszanych w „Naszej Mównicy”, ani razu jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać dyskusji na temat: jak przygotować młode dziewczęta do życia obywatelskiego.

Troszczymy się o to, aby kobieta umiała spełniać obowiązki żony, matki i gospodyni; pisze się dużo o pracy zawodowej mężatek; toczy się polemika o wyższe studia kobiece, ale brak zupełnie głosów matek o tem, jak przygotowują swoje córki do spełniania obowiązków obywatelskich, brak w tym zakresie podawanych spostrzeżeń, doświadczeń, wymiany myśli i dążeń.

A przecież to rzecz tak ważna.

My, kobiety starszego pokolenia, wychowane w okresie niewoli, miałyśmy inny zakres tych obowiązków. Były one ciężkie i dla wielu niebezpieczne, były o ileż ciałniejsze, ale te, które istniały, stanowiły podstawę wychowania każdej kobiety. Pietyzm dla mowy rodzimej, historii, literatury, pamiątek; zachowywanie polskości w domu i rodzinie, unikanie wszelkich, najdalszych nawet, towarzyskich stosunków z zaborcami — to były przykazania najściślej przestrzegane przez ogół kobiet, zasady, które każda matka w córkę wpajała.

Kobiety wykształceńsze, pełne zapału do pracy obywatelskiej, stawały do niej, organizując tajne nauczanie, później, w okresie względnie wolnościowym, różne instytucje i stowarzyszenia, lub podziemną robotę polityczną. Do zadań tych nie mogły być dostatecznie przygotowane, gdyż nie było potrzebnych szkół, ani stowarzyszeń; to też walczyły zawsze z trudnościami, ale w myśl tradycji kobiety polskiej, biorącej od wieków większy, niż gdziekolwiek indziej, udział w życiu społecznym i politycznym kraju, przewyciężały te trudności, pracowały, jak umiały i mogły; córki wzorowały się na działalności matek, a często pracowały z niemi łącznie. Wpojenie tych zasad, przysposobienie do tych trudnych zadań, było zawsze gorącą troską każdej matki.

Dziś, jakże zmieniły się warunki! W najśmielszych marzeniach trudno było przewidzieć, że życie obywatelskie stanie całe otworem przed młodem pokoleniem, a przygotowanie doń z konspiracji ciężkiej, a nieraz, mimo wszelkich wysiłków zawodnej, zamieni się w radosną naukę, w której współpracować może dom ze szkołą i licznymi zrzeszeniami.

To też byłyśmy przekonane, my, starsze matki, że najmilszem zadaniem młodszych będzie, przysposobienie swych córek do zadań obywatelskich, że rozwiną się dyskusje, posypią projekty, powstaną stowarzyszenia z wykładami i kursami, jak to jest za-

granicą (np. w Anglii i Belgji), gdzie stowarzyszenia kobiece organizują kursy przygotowania obywatelskiego dla młodzieży, ucząc, jak prowadzić posiedzenia, organizować związki, orjentować się w życiu politycznym i t. p.: że te młodsze matki będą chętnie dzieliły się swemi spostrzeżeniami, zasięgały wzajemnie rad, że sprawa dobrego wychowania obywatelskiego kobiety, której ojczyzna przyznała pełnię praw, i przed którą stoi ogromny kompleks zadań i obowiązków, będzie ważną sprawą w każdej rodzinie, sprawą, o której mówi się wiele i baczna na nią zwraca uwagę.

Cóż z tego, że do pewnego stopnia przygotowuje do niej szkoła. Szkoła nie może i nie powinna obejmować całokształtu wychowania, szkoła zresztą jest w tym zakresie, jak i w wielu innych, tylko teorią — potrzeba nam praktyki.

A z tą praktyką jest znacznie gorzej.

Młode pokolenie dziewcząt często przywiązuje daleko większą wagę do nauki, pracy zawodowej, stroju i zabawy, a matki nie starają się zbyt prze-ciwdziałać temu nastrojowi.

Starsze działaczki społeczne jakże często skarżą się na tę obojętność młodych. W stowarzyszeniach kobiecych, w różnych instytucjach społecznych wciąż pracują te same sterane już siły — młodych policzyć można na palcach.

Być może, iż jest to chwilowe, być może, iż młode dziewczęta są na drodze do tworzenia innych form działalności, nowych, bardziej do epoki obecnej zastosowanych; ale jakkolwiek jest, matki powinny to wiedzieć, interesować się tem, mówić o tem. Mam nadzieję, że mój głos nie przebrzmi bez echa i może do-wiemy się, jak w rodzinach, mających dorosłe i dorastające córki, sprawa ta jest traktowana.

Kar. Ma — Wilno.

**Każda z nas może mieć miłą starość** (w odpowiedzi pp. M. B. z Lubelskiego i Józefie N. z Warszawy).

Dyskusja o starości, rozpoczęta przez p. M. B. z Lubelskiego, i uwagi p. Józefy N. z Warszawy — nasunęły mi szereg refleksyj, któremi pragnę podzielić się z Sz. Czytelniczkami.

Chciałabym przedewszystkiem podkreślić głęboką wartość pięknych rozważań p. M. B.

Starość nie jest, mojem zdaniem, należycie docenioną epoką życia. Od najdawniejszych czasów wpajano dla niej cześć, z drugiej strony jednak utyskiwano na jej dolegliwości, a potrochu i wy-

śmiewano się z niej cichaczem. I jedno i drugie miało swoją życiową rację. Doświadczenie, spokojna, beznamiętna ocena otaczających zjawisk życiowych, dają starcom stanowisko poważnych i dobrych sędziów i doradców, o ile ciż starcy zachowali jasność umysłu i pogodę ducha. Z drugiej strony jednak zgryźliwość, lub pełne megalomanji przeświadczenie o własnej nieomyślności, drobne wady, śmieszności, a nawet braki fizyczne, tak często występujące u starszych — dają łatwą okazję do żartów, lub, nie pozbawionego zresztą zewnętrznych oznak szacunku, unikania „starych nudziarzy”.

U starych kobiet występują jeszcze dodatkowe cechy, wynikające z drobiazgowości kobiecej, zamiłowania do ploteczek i owego, tak słusznie wysuniętego przez p. M. B., czepiania się minionej młodości, jej wdzięków i uciech.

A tymczasem starość, to nie to wszystko, to zupełnie co innego: starość — to właśnie owa epoka dożytkowa, spokojnego, głębokiego przeżywania dorobku życiowego, co tak trafnie ujęła i tak pięknie wypowiedziała p. M. B.

Nie mogę zato zgodzić się w zupełności z p. Józefą N. Bezwzględnie, że stuprocentowa „lalka” nie będzie miała na starość b. dobrego i miłego życia duchowego; ale czyż możemy twierdzić, że w istocie, nawet pozornie lekkomyślnej, oddanej w młodości zabawie, strojom i flirtom, niema już żadnych głębszych wartości, żadnej możliwości rozwinięcia ich, nawet w późniejszym wieku, jeśli w młodości przysłuszone były różnemi warunkami, osobistemi i życiowemi?

Zaiste, tak twierdzić nie mamy prawa o nikim i nie należy zamykać sobie, ani komuś, drogi do rozwinięcia głębszych wartości duchowych, nawet w późniejszym wieku.

Należałoby, przeciwnie, zastanowić się nad tem, jak wprowadzić w życie ideał, wskazany przez p. M. B.: osiągnięcie „jesiennej radości życia”. Jak nauczyć kobiety „zestarzeć się mądrze i w porę”.

I tu niemożna, tak, jak to czyni p. Józefa N., powiedzieć sobie poprostu: „Kobieta, która żyła pełnem życiem duchowem człowieka, nie będzie nigdy śmieszna w starości”, zostawiając wszystkie inne własnemu losowi. Musimy zdać sobie sprawę, że to „pełne życie duchowe” nie jest udziałem tak wielu, a nawet, kto wie, czy jest ono panaceum na szczęśliwy wiek późniejszy?

Bo weźmy taki przykład: kobieta, bardzo wykształcona, b. uduchowiona, uczona, społecznica — czy będzie zupełnie pewna znalezienia na starsze lata szczęścia, jeśli nie ma rodziny, lub choćby serdecznych uczuć, tych zwykłych, ludzkich? A z drugiej strony zwykła nawet „kurka domowa”, serdeczna i tylko... rozsądna, jakże łatwo znajdzie zadowolenie w szczęściu dzieci i wnuków, w zmniejszonym nieraz zakresie domu, łatwiejszych zajęciach i odpowiednich swemu wiekowi rozrywkach.

Więc warunkiem dobrej, pogodnej starości jest niekoniecznie „wysoki” rozwój intelektualny, raczej rozumne ujęcie życia i życie sercem.

Racja, że te wartości powinniśmy rozwijać

w ciągu całego życia, ale nie myślę, aby położenie tych kobiet, które w starszych nawet latach zrozumieją, że odchodzące rozrywki i uczucia młodości trzeba zamienić na inne, było beznadziejne.

Trzeba tylko właśnie zastosować pragnienia do indywidualnego rozwoju jednostki. Pogodna epoka dożytkowa może być dla jednych zamknięta tylko w obrębie ogniska domowego, dla innych może ogarniać szerokie horyzonty życia społeczeństwa i narodów, dla innych, jeszcze głębiej sięgających, stać się może wzniesieniem w najwyższe sfery ideałów religijnych, filozoficznych i zagadnień ludzkości.

Jak co dla kogo; chodzi tylko o głębokie zrozumienie samej idei: w młodości walczyliśmy, zabiegamy, przechodzimy wzloty, zarówno jak upadki i zawody, tworzymy swoje życie. Umiejmy w starszym wieku ukochać to, co wytworzyliśmy, zbierać plon. Nie chcemy robić życia poraz drugi, osobiście, czy pośrednio, lecz nauczmy się korzystać z naszego dorobku, nietyle rozszerzając, ile pogłębiając go, stosownie do indywidualnego swego poziomu. A do tego pomóc nam może łatwo rozważa i doświadczenie, które są jednak ogólnie przywilejem starszego wieku i niema chyba wśród kobiet wielu tak pustych duszyczek, któreby tego zastanowienia wzbudzić w sobie nie umiały i dla których byłoby na nie za późno.

Mar. Win. z Lublina.

### Ogniska dla pań inteligentnych.

Myśl założenia prywatnego ogniska powstała w wielkopolskiem mieście powiatowem, w Krotoszynie.

Krotoszyn znany jest nietylko z „majątków Krotoszyńskich”, ale przede wszystkim ze swego malowniczego położenia. Jest to miasto-ogród, gdyż całe tonie w cudnej zieleni ogrodów i drzew owocowych. Samo miasto jest bardzo czyste i spokojne; ma 2 kościoły, 2 gimnazja koedukacyjne, 1 seminarjum nauczycielskie męskie, 1 szkołę gospodarstwa domowego, 1 szkołę wydziałową koedukacyjną i szkoły powszechne; stację węzłową i kolejkę powiatową.

W tem to mieście-ogrodzie projektuje się otwarcie przy szkole gospodarczej (mieszczącej się we własnym, dużym, słonecznym domu przy ul. Staszica Nr. 1) pierwszego prywatnego ogniska dla pań. Połączenie ogniska ze szkołą gospodarczą jest bardzo celowe i obustronnie korzystne.

Przy dzisiejszym głodzie mieszkaniowym, z radością należy powitać tę inicjatywę, która winna znaleźć naśladowców.

Byłoby to najszybsze i najszcześniejsze, choć tylko tymczasowe, rozwiązanie kwestji ogniska dla kobiet. Tymczasowe, gdyż sprawą tą winno się zająć całe społeczeństwo, w szczególności kobiece, aby w najbliższym czasie zorganizować towarzystwo, którego celem byłoby zabezpieczenie kobiecie pracującej spokojnej i beztrudnej starości. Zanim myśl ta wsiąknie we wszystkie warstwy społeczne, inicjatywa prywatna chce jej w miarę sił i możliwości towarzyszyć.

Teresa Leszczyńska — Krotoszyn.